W młodych oczach

CZASOPISMO MŁODZIEŻY SZKOLNEJ



Nr 4 (8) WARSZAWA Rok 2

WYD. ORGANIZACJA PRACY OBYWATELSKIEJ MŁODZIEŻY STRAŻ PRZEDNIA

POEMATY LODÓW

— Wyspa mgieł i wichrów —
— Znowu na północy —
— Biała foka —

Oto tytuły trzech kolejnych książek inż. J. Centkiewicza, członka Polskiej Wyprawy Polarnej na wyspę Niedźwiedzią.

Dziwne uczucie ogarnia nas przy ich czytaniu. Styl zwięzły, rzeczowy, sprawozdawcze nieomal podawanie faktów daje w końcowym efekcie zupełnie niespodziewane wrażenie. Zapominamy o dzielących nas tysiącach kilometrów, o kilkudziesięciostopniowych mrozach, o wiatrach wiejących z siłą huraganu i podziwiamy bardzo cicho i bardzo pokornie — wielką białą tajemnicę.

Widzimy twarde, poszarpane skały, wśród których tyle groźnych przygód spotkało naszą ekspedycję, słyszymy syk ocierającej się o siebie kry i trzask pękających tafli lodu. Zrywamy się o oznaczonej godzinie wraz z obserwatorem, by dokonać odczytu samoczynnych instrumentów — wśród wytrwałej i ciężkiej pracy przeżywamy niesamowitość nocy polarnej. W pamięci pozostają setki drobnych, codziennych wypadków, z których wiele, jedynie dzięki zimnej krwi i szybkiej orientacji, nie skończyło się tragicznie.

...Odjeżdżamy, aby znów powracać. Niby tam po jakieś instrumenty, co to same notowały zjawiska meteorologiczne, niby tam cele naukowe — uśmiechamy się domyślnie — to nie nauka, nie trzaski atmosferyczne — to: północ wabi!

Odwiedzamy starych znajomych, opowiadamy sobie o polowaniach i o ciężkiej ubiegłej zimie i o tablicy pamiątkowej z bronzu, którą źli ludzie — a może zamarzająca woda — oderwała od skały. Jesteśmy „Znowu na północy" — i przyjedziemy tu raz jeszcze, jako załoga statku łowców fok. Dziwna to była wyprawa. Przyjaciel obiecał zabrać ze sobą autora na wielkie łowy. Towarzystwo asekuracyjne nie pozwala jednak brać pasażerów — więc — zaciągnął się po prostu jako strzelec na mały stateczek. W dalekim norweskim porcie kupuje konieczny ekwipunek, zabiera kilka przyrządów do badań przeźroczystości wody i rusza — na lody!

Na łupinkę statku zewsząd czyhają niebezpieczeństwa i nie lada sprawności i doświadczenia potrzeba, by nie dać się zamknąć polom lodowym, nie osiąść gdzieś na mieliźnie, by wreszcie znaleźć cel wyprawy: — wielkie pola lodowe z tłustymi cielskami łagodnych fok.

Ładna podróż dla przyjemności. Kilkakrotnie szykują się wszyscy do opuszczenia statku. Napór kry jest tak silny, że grozi lada chwila strzaskaniem — a wówczas załoga będzie musiała wędrować wśród spiętrzonych zwałów lodu, by dotrzeć do jakiegoś skrawka starego lądu. A potem — długie oczekiwanie na ratunek. Odważnym jednak sprzyja szczęście. Napór lodów ustępuje w najkrytyczniejszym momencie, gdy burty okrętu trzeszczą już rozpaczliwie — a załoga wyładowywała prowiant.

Jedziemy dalej!

Dziwna książka. Tyle w niej krwi i mordu — a przecież wydaje się nam biała jak podbiegunowe śniegi. Z dyskrecją wspomina autor o swych strzeleckich sukcesach — tyle tylko, ile trzeba, abyśmy pamiętali, iż jesteśmy na statku łowców fok. Piękne, oślizgłe futra, mądre oczy budzą w nas żywą sympatię do tych miłych, a tak bezlitośnie tępionych stworzeń. W morzach północy jest i gruba zwierzyna — król tych stron — biały niedźwiedź. Łowy na niego, to „gratka" dla ludzi strzelby. Ileż emocji, wrażeń i triumfu dostarcza walka o jego futro — zawsze w końcu zwycięża człowiek.

W książkach Centkiewicza są nie tylko lody i zwierzęta — są ludzie. Prości, zdrowi, zahartowani w bojach — a zarazem delikatni i taktowni; — ludzie, kryjący pod szorstką zewnętrzną powłoką najlepsze w świecie serca.

Autor nie „rozaniela" się nad swymi towarzyszami, nie kreśli żadnych psychologicznych portretów, nie otwiera przed nami głębi duszy ani swojej, ani niczyjej — a przecież, a przecież my tych ludzi tak dobrze znamy, tak bliscy nam się stają, tak chętnie uścisnęlibyśmy ich twarde dłonie.

Znać po tych książkach słuszność doskonałej, starej zasady, iż żeby pisać — trzeba wiedzieć o czym pisać i żeby dobrze pisać — trzeba prosto pisać. Centkiewicz wie o czym pisać i umie robić to w sposób zadziwiająco prosty i naturalny, a przy tym pełen wysokiego artyzmu.

I jeszcze jedno. Czy widzieliście foki i czy wiecie skąd pochodzi tytuł ostatniej książki? Otóż małe foki, po narodzeniu, są białe jak śnieg.

Franciszek Gruszka.

Nadsyłajcie zdjęcia na konkurs fotograficzny „Młodych Oczu"
pod hasłem: „Poznajmy Polskę, jak dźwiga się wzwyż!"
Szczegóły w poprzednim numerze. Termin: 1 maja!

w młodych oczach

czasopismo młodzieży szkolnej

Wyd. przez Organizację Pracy Obywatelskiej Młodzieży
STRAŻ PRZEDNIA

Nr. 4 (8) Warszawa, 30 kwietnia 1938 r. Rok 2.

Młoda wieś i młode miasto

W przemówieniu p. Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 19 marca znalazły się słowa o wsi. Były wypowiedziane z głęboką troską, ale i z głęboką nadzieją. Wieś polska przeszła w ostatnich latach najcięższe terminy. Najbliższe lata muszą przynieść zasadniczą poprawę. Dalsze lata muszą przynieść rozkwit. Nie jest do pomyślenia nasza potęga państwowa, jeśli najszersza podstawa społeczna, na jakiej się naród opiera, grzęźnie w biedzie, apatji i słabości. Wieś nie może być bolączką Polski, musi być Jej d u m ą.

To mocne słowo „musi" dyktuje nam konieczność państwowa i nasza wiara. „Musi" nie znaczy jednak, że istnieją pomyślne warunki dla wielkiego rozkwitu gospodarczego wsi. Niestety, warunki są jak najgorsze. Przeludnienie, brak kultury rolniczej, brak przysposobienia zawodowego, brak organizacji zbytu, bezrobocie, bieda, często apatia, brak zatrudnienia w miastach... za wiele tych braków. Nie ma też podstaw do oczekiwania, że przyszłość sama w jakiś cudowny sposób braki te usunie.

Jest w „Beniowskim" fragment o Ukrainie, którym Marszałek Piłsudski określał czasem wady psychiki polskiej: „W Polsce... wypadkom Bożym otworzona brama, Rzecz się robi tak długo, aż się zrobi sama". Niestety, jeśli idzie o poprawę bytu wsi, nie ma najmniejszej nadziei, by się „rzecz zrobiła sama", nawet po najdłuższym oczekiwaniu. Ktoś musi to zrobić, ktoś musi stworzyć wsi d o b r e warunki rozwoju. Kto? Rząd? Ludność wiejska? T. zw. inteligencja? Odpowiedź jest jedna: wszyscy pospołu. Wynika ona chociażby z tego, co należy na wsi robić, jakie z a d a n i a leżą przed wsią i w związku z tym przed całym państwem. Z wielu stron (choć nie z wszystkich) padają dziś jednako brzmiące głosy: Przeprowadzić racjonalną i konsekwentną r e f o r m ę r o l n ą, t. zn. parcelację, komasację i roboty meljoracyjne, i w ten sposób związać jak największą ilość rąk roboczych ze wsią, jak największym masom wiejskim dać pracę i dostatnie utrzymanie na roli. Ten dostatek może zapewnić tylko jak najbardziej w y d a j n a g o s p o d a r k a rolna i hodowlana. Nie może być u nas tego absurdu, że wydajność lepszych gleb na wschodzie Polski jest niższa, niż najgorszych na zachodzie, a ogólna wydajność o wiele niższą niż w krajach Zachodu. Trzeba, by lud wiejski a zwłaszcza młoda wieś nauczyła się nowoczesnej intensywnej gospodarki, trzeba skrawkom ziemi wydzierać maksymalną ilość plonów.

Nie koniec na tym. Wieś musi sama czerpać korzyści ze swej pracy, musi sama z o r g a n i z o w a ć zbyt swych wytworów, pchnąć swych synów do handlu produktami rolniczymi. Oczywiście, że w ten sposób nie zatrudni się jeszcze całego nadmiaru ludności wiejskiej. Część jej będzie musiała szukać egzystencji w miastach i miasteczkach, *w drobnym handlu i rzemiośle*. Dopływ ludności wiejskiej do miast jest normalnym procesem gospodarczym. U nas dopływ ten był zahamowany i dlatego w wielu miasteczkach brak nam p o l s k i e g o m i e s z c z a ń s t w a. Ludność wiejska ma więc swe zadania i wobec miast. Musi wydatnie zasilić i rozwinąć polski stan mieszczański jak również dostarczyć rąk rozwijającemu się przemysłowi.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

A miasto? A młodzież kształcąca się — przyszła inteligencja, jakież ma dziś zadania wobec wsi? Musi ją już dziś poznać, nauczyć się ją rozumieć, by kiedyś móc pracować dla niej, lub ze wsią współdziałać. Tego współdziałania trzeba uczyć się już dziś, począwszy od twardej pracy fizycznej w warunkach wiejskich — skończywszy na samokształceniu i wzajemnej wymianie myśli o pracy wsi i miasta. Zbliżają się ferie — obozy letnie. Większość z nas wyjedzie na wieś. Ale pojedze nie po to, by wypoczywać w sielankowym nastroju. Obóz — to czas wzajemnego poznawania się młodego inteligenta z miasta i młodego chłopa, czas usuwania przeszkód

i wzajemnych uprzedzeń przez pracę społeczną obozu, pracę fizyczną i ogniskową, świetlicową czy spółdzielczą.

Może z tej pracy naszych sztubackich rąk niewiele przyjść twardym dłoniom chłopskim.

Nam jednak da to wiele. Nauczy rzetelnego trudu i innego spojrzenia na wieś i Polskę. Oduczy bezpłodnych zachwytów nad Polską „przemienionych kołodziejów". Nauczy Polski twardych rąk, zdrowych mózgów i upartej woli.

polityka w młodych oczach

Jerzy Jehr

DWIE WOJNY

Wydaje się, że wojna domowa w Hiszpanii ma się ku końcowi. Nową Hiszpanię budować będzie gen. Franco i jego narodowa armia. Nim zakończy się ta najbardziej okrutna i zacięta z wojen wewnętrznych w Europie, warto cofnąć się myślą o dwa lata wstecz i raz jeszcze przypomnieć jej przebieg.

Po ustąpieniu prezydenta Zamorry w kwietniu 1936 r. nasilenie wpływów lewicy hiszpańskiej doszło do szczytu. Jednocześnie coraz silniejszy i coraz bardziej spoisty stawał się front „prawicowców", wśród których przewodzili wojskowi, niezadowoleni z rządów premiera Azany. Naturalnymi sprzymierzeńcami wojskowych byli oczywiście „karliści" (monarchiści), falangiści, faszyści itd. Premier Azana rozwiązał w kwietniu 1936 r. ligi faszystowskie i przeprowadził uchwałę, na mocy której oficerom odbierano zaopatrzenie za występowanie przeciwko rządowi. Od tej chwili Azana i rządy późniejsze mogły się spodziewać ze strony poszkodowanych jeszcze ostrzejszej opozycji, a ze strony wojska czynnego otwartej niechęci.

19 lipca 1936 r. wojska stacjonowane w Marokku dokonały zamachu stanu. W ciągu dwóch dni Marokko przeszło w ręce gen. Franco, długoletniego dowódcy kolonialnych sił zbrojnych. Jednocześnie wewnątrz kraju niektóre z garnizonów wojskowych na północy (Burgos i Pampeluna) wypowiedziały posłuszeństwo rządowi. Powstanie zaskoczyło rząd, który już przedtem obawiając się wojska, połowę garnizonów urlopował. Gen. Franco przeprawił się szybko z częścią legii cudzoziemskiej do Hiszpanii i opanowawszy południową jej część, rozpoczął marsz na Madryt. Powstanie wybuchło naraz w kilku punktach. Przyłączył się doń gen. Aeipo de Lliano, z dywizją w Sewilli, na północy zaś gen. Mola. Wojska powstańcze posuwały się szybko szerokim pasem zachodniej Hiszpanii na północ, gdzie działał już gen. Mola.

Rząd madrycki początkowo „stracił głowę". Nie był to rząd, a raczej kolejno zmieniające się rządy, w których coraz większy wpływ zyskiwali skrajni socjaliści i komuniści. Rząd ten zorganizował wreszcie armię ochotniczą, i rozpoczęły się działania wojenne. Hiszpania jest krajem bardzo górzystym. Nawet luźne, półwojskowe gromady mogłyby w nim długo się opierać. Charakter Hiszpana, jego wyjątkowa zawziętość, upór i fanatyzm czynią z niego świetnego żołnierza w obronie. To też o każdy grzbiet górski, o każdy wąwóz toczyła się mordercza walka, co opóźniało postęp i powodowało straty w ludziach. Żołnierze legii cudzoziemskiej, zaprawieni w bojach w Afryce i dobrze wyposażone oddziały wojska regularnego dałyby sobie jednak dość rychło radę z wojskiem czerwonych, gdyby nie ingerencja państw obcych. Państwa te (Niemcy i Włochy z jednej, Sowiety i Francja z drugiej strony) zagrały na terenie Hiszpanii o wysoką stawkę. Wojna z każdym dniem wzrastała na sile.

Wędrowały do Hiszpanii zapasy amunicji, broni technicznych, samolotów, a w ślad za nimi tysiące cudzoziemskich ochotników. Walczono coraz zażarciej, o każdą wioskę, o każdą przełęcz górską. Zaczęły się prawdziwe walki pozycyjne, prowadzone ze zmiennym szczęściem. Wojsko powstańcze naogół przeważało i kolejno zajmowało ważne strategiczne punkty. Do największych bodaj sukcesów należało zaliczyć zajęcie północnego wybrzeża Hiszpanii, gdzie skupia się cały prawie przemysł kraju.

Skutki bratobójczej wojny okazały się już w toku walk dla Hiszpanii straszne. Straty pierwszych sześciu miesięcy wynosiły prawie połowę majątku narodowego. Cudzoziemcy walczący po obu stronach barbarzyńsko niszczyli zabytki kulturalne Hiszpanii. Ofiarą wojny padły tysiące kościołów, pałaców, zbiorów sztuki, bibliotek, archiw itp. Straty w ludziach oblicza się na kilkaset tysięcy.

8/10 kraju wraz z najbogatszym i uprzemysłowionym okręgiem baskijskim jest już w rękach gen. Franco. Czerwonych odgrodziła od morza blokada powstańcza, pozbawiono ich kontaktu z zagranicą, są w dodatku skłóceni i rozbici. Ostatnio wojska narodowe dotarły do wybrzeży m. Śródziemnego, przecinając tym samym łączność między Walencją i Barceloną. Sprawa zakończenia wojny sprowadza się głównie do pytania, kiedy padnie Madryt?

* * *

Japonię „odkryto“ dla świata dopiero w ubiegłym stuleciu. „Biali“ łudzili się wtedy, że zdobyli nareszcie doskonały rynek dla produkcji europejskiej.

Wiadomo jednak, jakiego figla wypłatała swym opiekunom „kraina wschodzącego słońca“. Oto w ciągu pół wieku stała się jednym z mocarstw światowych, bardziej potrzebujących rynków i terenów ekspansji niż Anglia i Sowiety. Tym najbliższym rynkiem Japonii mogą być tylko — Chiny.

Pokojowe stosunki Japonii z Chinami poczęły się psuć, gdy Japonia zaczęła niedwuznacznie myśleć o utrwaleniu w Chinach wpływów politycznych i gospodarczych. Utworzenie Mandżu-kuo i założenie garnizonów w Chinach północnych oraz podsycanie ruchu mongolskiego uczyniło Japonię w oczach Chin wrogiem Nr. 1. „Żółte niebezpieczeństwo“ wydało się Chińczykom o wiele groźniejsze niż komunizm, ważniejsze niż krwawe sprawy domowe. Otwarcie i jak nigdy solidarnie zwróciły się Chiny przeciw Japonii.

Zaczęło się od pogłosek o tajnym układzie sowiecko-chińskim i prawdopodobnym porozumieniu między Japonią i Anglią.

Jak donosił dziennik „Niszi-Niszi“ z kwietnia 1936 r.:

> „Anglia miałaby uznać, że rozwój akcji japońskiej w Chinach jest nieunikniony i miałaby dążyć do zapewnienia sobie gwarancji dla interesów brytyjskich w Chinach. Japonia wyrzekłaby się środków wojskowych i dążyłaby do normalizacji stosunków z rządem nankińskim“.

Prowincje południowe już w r. 1936 domagały się od marszałka Czang-Kai-Szeka wystąpienia przeciwko Japonii. Ba! marszałka — po przybyciu do jednej z prowincji — uwięziono nawet. (Zresztą później z honorami odstawiono go do Nankinu). Takie nastroje musiały wreszcie spowodować wybuch. Toteż nikogo nie zaskoczył napad na odbywający ćwiczenia nocne oddział japoński dnia 8 lipca 1937 r. W dwa dni potem przyszło do poważniejszej potyczki, w dzień potem rząd japoński postanowił wysłać do Chin północnych — wojsko.

Oczywiście w otwartej wojnie Japończycy mają zapewnioną olbrzymią przewagę techniczną. Stosunek sił chińskich do japońskich wynosi pod tym względem 1:10. Natomiast Chińczycy rozporządzają wielkim atutem — przestrzenią. Nawet strata kilku prowincji nie ma dla nich wielkiego znaczenia. Mogą się cofać, manewrować, słowem „grać przestrzenią“. Japończycy muszą natomiast obsadzać natychmiast zdobyte ziemie swymi garnizonami i w ten sposób unieruchamiają dużą część swojego wojska. Poza tym muszą pilnować granic Mandżurii.

Pierwsze walki wykazały niewątpliwą przewagę wojsk japońskich nad Chińczykami. Opanowano szybko Pekin. Gdy w Szanghaju zabito marynarza japońskiego, w tydzień potem do portu niedaleko Szanghaju przybiło 20 okrętów wojennych Japonii. Rozpoczął się najsmutniejszy okres w tej wojnie: oblężenie Szanghaju. Tysiące bezbronnej ludności ginie od wybuchu bomb i od pocisków armatnich, wyścig zbrojeń w Europie. Przetapia się miliardy na blachy pancerne okrętów liniowych i lufy armatnie. które dzień w dzień zasypują miasto. Ulice Szanghaju stają się widownią krwawych i zaciętych walk. Po kilku tygodniach największy port Chin a szóste pod



Szanghaj... Worki z piaskiem, bagnety i — „Sonata księżycowa“ z Paderewskim.

bombardują Nankin. Miesiąc walk i — Nankin, stolica Chin, pada. Japończycy maszerują na Kanton.

Sowiety starają się pomagać Chinom. Idą więc do Chin wagony amunicji, broni, samoloty, przyjeżdżają instruktorzy, Czang-Kai-Szek używa wszelkich możliwych sposobów, ażeby powstrzymać wojsko japońskie. Próbuje wskórać coś w Lidze Narodów, oczywiście bez skutku. Zawodzą również nadzieje zbrojnej interwencji Anglii, kilkakrotnie obrażanej i przepraszanej przez Japonię. Na Amerykę nie można liczyć, gdyż jest ona głównym dostawcą Japonii i zarobiła na tym dotychczas 850 milionów yenów.

W dodatku mści się na Czang-Kai-Szeku wychowanie ludności w strachu przed Japończykami. Japończycy pędzą przed sobą uciekające tłumy chińskich nędzarzy, których trzeba żywić. W ten sposób Japończycy pozbywają się zbytecznych gęb do żywienia, Chińczycy nie mają ich zaś za co wyżywić. 1/3 ich wpływów — dochody u ceł — wobec blokady wybrzeży odpadła.

Ostatnie komunikaty z pola walk mówią o dalszych sukcesach japońskich i o niesłabnącej energii Chińczyków, którzy wyparci z jednego miejsca, bronią się o 100 m. dalej Niejasne wiadomości ze Wschodu stwierdzają, że Chińczycy wykazują miejscami pewną przewagę.

Ponadto starym chińskim obyczajem powstają gromady wojska nieregularnego, które nękają najeźdźcę wojną podjazdową, również i na tyłach wojsk japońskich. Pod wpływem pewnych sukcesów strach przed Japończykami ustępuje, Chińczycy wierzą, że czas pracuje na ich korzyść i że po... 10-ciu latach uda im się wojnę wygrać!

A tymczasem Anglia jest świadkiem, jak jej umocnienia na Pacyfiku z każdym dniem tracą na wartości. Ani Hong-Kong, ani Singapore nie będą miały znaczenia, jeśli w Chinach usadowią się na dobre żółci wypiarze. Wydatki angielskie na zbrojenia rosną. Pociągają oczywiście za sobą — nowy względem wielkości miasto na świecie dostało się w ręce Japończyków. Równocześnie samoloty japońskie Im większa średnica paszczy armatniej — tym większe bezpieczeństwo.

Reportaż „Młodych Oczu"

Kazimierz Wereszczyński

MŁODZIEŻ NA WOLNOŚCI

Czy wiecie — gdzie się śpi, gdy się nie ma gdzie spać?

I gdy się nie ma pieniędzy?

I gdy się ma lat 14—18?

I gdy się wieje z Tarnowa do Ameryki i chwilowo właśnie jest się w Warszawie?

Nie wiecie?

Idzie się na: — Wolność 14.

Wielki czteropiętrowy, odpowiednio odrapany — „hotel" z tablicą nad wejściem, „Ognisko dla młodzieży od lat 14 do 20".

Po drodze już spotyka się różnych „morowych" chłopaków, wielkich przemysłowców i handlowców w branży sznurowadeł, agrawek, pasty wszelkiego rodzaju, grzebieni krajowego wyrobu, „naj-świeższych pio-se-nek i kup-le-tów" z bram Saskiego Ogrodu.

To trampy królewskie... Prawie wszyscy bawią tu tylko chwilowo... Dokąd spieszą? — „Romantycy, wrażliwi na szepty wielkiej przygody, wolność kochający" jak się o nich wyrażano.

Iluż z nich przejechało już świat...

Na osiach dotarł do Konstancy. Tam — nocą ulokował się na statku... Na pokładzie przedstawił się, gdy wybrzeża znikły z horyzontu.

...Myślałem, że kapitan rzuci mnie rekinom — ale nie... to dobry człowiek..."

Umytego i ubranego zagoniono do roboty. I choć mógł pracować na statku lecz „...mnie skusiło i w Grecji wysiadłem na ląd...".

— A z czego żyłeś?

— Tam? — ha!... żyć nie umierać. Moreli pełno na polach rośnie, wystarczy tylko nosem pociągnąć, a już człek wie, gdzie iść...

— Ale z greckim to...

— A po co miałem znać, ja tam za niemowego byłem...

Był taki, co do Hiszpanii się wybrał. Poleszuk, niezaradny jakiś, — złapano go już na granicy hiszpańskiej.

Są sprytniejsi — ci potrafią wykazać się niejednym paszportem, gdy wrócą na punkt swego startu w „Nieznane" — ba, litościwy konsul i w pieniądze czasem zaopatrzy — „...bo przecież podróż do macierzy daleka — trzeba tylko umieć gadać...".

Jest już późny wieczór... Od wejścia — holl i poczekalnia zarazem. Z lewej strony okienko, a w nim „pani kierowniczka". Kłopot — jak ją opisać? Kto ma ciocię, ale taką morową ciotkę, z włosami siwizną przypruszonymi — łatwo sobie wyobrazi panią kierowniczkę.



„Słowik kujawski".

Ale uwaga!... Kolejka...

— Poproszę metrykę... — pada powitanie.

Oczywiście, że jest, bywa zwykle, swoja lub cudza, młodszego brata czy kolegi. Bo wiek nie może być żadną miarą przekroczony. 14 — 20 lat.

— Rodziców nie masz...

— Tak, proszę pani... nie... — nie mam. Umarli... zupełna sierota... Do babci przyjechałem..., na Czerniakowską, przedtem tam mieszkała, ale już nie mieszka i muszę się dowiedzieć, dokąd wyprowadziła się...

— ...już 14 mam skończonych, napewno!...

— Ale coś ze wzrostem to...

— To nic, bo ja już taki mały zawsze byłem... Niańka mnie, proszę pani... Ale, o tu jest metryka...

— — — — — — — — — — — — —

I oto miejsce w hotelu „zarezerwowane".

Pierwsza noc...

Parter... Twarda drewniana prycza...

Przede wszystkim — nie trzeba zapominać o podstawowej zasadzie — przyjaźń przyjaźnią, ale swoją drogą należy pilnować troskliwie „skoków" czyli butów, bo to przecież o nieszczęście nie trudno... no i może się zdarzyć, że... już więc lepiej położyć je pod głowę...

...Śpią... twardo... Dopiero jutro otrzymają numerek do „odwszalni", odwiedzą przy okazji lekarza i po przyniesieniu zaświadczenia dostaną prawdziwe, miękkie, z czystą pościelą i słomianą poduszką — łoże i to w jasnym, czystym pokoju z chodnikiem przez środek. Niejeden dostanie pidżamę i zaawansuje na trzecie, a nawet, gdy szczęście dopisze, na czwarte piętro. Jest tu już czytelnia czasopism, biblioteka, sala do ping-ponga, a gdy są partnerzy, znajdą się i szachy, warcaby itp. „Towarzystwo" jednak najczęściej skupia się gdzieś w dogodnym do tego celu miejscu i idzie „oko" — mimo, że za to grozi z powrotem parter, nie mówiąc o konfiskacie kart... pani kierowniczka ma dobre „oko".

Mieszkańcy wyższych pięter uważani są za szczęśliwców. To już ludzie „stateczni", znający dobrze życie — chociaż i z tych szeregów wyrywa często ofiary „Wielka Przygoda" — a wtedy powrót jest trudny... „Lokatorzy" ci, bo tak należy już ich traktować — to ludzie, którzy po tułaczce znaleźli pracę i tu za niewielką opłatą otrzymują kolacje, śniadania, korzystają z wszelkich urządzeń lokalu, mają swoją czytelnię, salę do gier itp.

Ale... narazie spać... — to dalekie sny...

— — — — — — — — — — — — —

W Ognisku ilość mieszkańców nie jest stała. Waha się od 60 do 200 osób. Ilość zależna jest od pory roku, pogody oraz wielu innych okoliczności, jak „wyższa konieczność" czy „dobra koniunktura"... Wśród tych ludzi mały procent stanowią podróżnicy, których w świat wygnały zbyt dobre warunki domowe. Reszta to chłopcy, którzy idą zdobywać życie.

— Co mają?

Stare ubrania i podarte buty.

— Co chcą mieć?

Wszystko. To „wszystko" różnie u nich wygląda. Jedni chcą mieć co jeść i w co się ubrać, — inni dużo wiedzieć i dużo umieć — jeszcze inni... — ale poco wyliczać. Zastanówmy się raczej, co ich czeka?

Czeka ich ciężka próba rezygnacji, ciężka próba własnej często coraz bardziej słabnącej woli i warunków, o których lepiej nie mówić. I część z nich odpada. Chorują, idą do zakładów, wykolejają się — zupełnie giną — nie jest to jednak wielki procent. Prawie 4/5 tych chłopców wychodzi z zapasów z losem zwycięsko. Pracują, zdobywają fach, wchodzą w produktywne życie dojrzałego społeczeństwa. Z dużym prawdopodobieństwem możnaby powiedzieć, iż Ognisko na Wolności gości często w swych murach element, cenny pod względem aktywności, wart niekiedy pierwszych wśród młodzieży miejsc...

Można się obrażać — proszę bardzo.

— — — — — — — — — — — — —

Słyszeliśmy nieraz przez radio „słowika kujawskiego". Wygląd i budowa „słowika" nie wskazują na wymagany przy okienku wiek. Ale Kazik Sochacki, tak się bowiem nazywa, ma lat 14 skończonych. Nie tak dawno jeszcze pasał na Kujawach krowy gospodarza, któremu matka oddała go na służbę — sama nie mogła podołać wyżywieniu syna, jest chora. Kazik nie mógł pogodzić się z gospodarzem. Uciekł! — Dokąd?...

...Znajomy maszynista zabiera go na lokomotywę. Jest w Warszawie... Cóż z tego — trzeba żyć, a tam w domu na Kujawach — matka chora,trzeba pomóc. Zaczyna... gwizdać. Szybko orientuje się, że ten swoisty „talent" przynosi mu całkiem niezłe dochody. I teraz zaczyna działać... Od Komisariatu Rządu chce bezpłatnego biletu kolejowego po Polsce, zwolnienia z podatku widowiskowego, od radia — aby dało mu możność gwizdania do mikrofonu, — ba, nawet p. Łopuszka, popularnego „krakowskiego słowika" wyzwał do rozegrania „gwizdanego" meczu.

— W takim ubraniu gwiżdżesz?

— Nie, to jest moje własne, na codzień ubranie, a jak idę gwizdać, pożyczam sobie na Świętokrzyskiej...

— A pożyczą ci?...

— Jak zapłacę, dlaczego nie, coż to? — pada odpowiedź.

— Ile bierzesz za swój występ?

— Różnie... Na początku, nie znali mnie, więc brałem, co mi dano... ale teraz 15—20 zł., taniej nie gwiżdżę.

— Tyle pieniędzy, co z nimi robisz?

— Za pożyczenie ubrania zapłacić muszę, za buty także, kolegom, co pilnują, aby mnie nie oszukano...

— A z resztą co robisz?

— Matkę mam chorą i muszę mieć dużo, dużo pieniędzy, chcę się uczyć.

— — — — — — — — — — — — —

Ci chłopcy są zupełnie sami, a jeśli nie — to lepiej byłoby dla nich, gdyby byli sami. Nikt ich do pracy nie zachęca, nikt nie dodaje otuchy — gdy jest ciężko. A często tak bywa. Nikogo wreszcie nie obchodzi, czy walka ich zakończy się zwycięstwem, czy też pochłonie ich złowroga otchłań ulicy — i to jest najcięższe. Nikogo nie obchodzą. Mogą być święci, mogą być złodziejami — nikogo to nie obchodzi. Prawo zajmuje się nimi od chwili schwytania na przestępstwie, — społeczeństwo twierdzi, iż tak jest przeciążone świadczeniami socjalnymi, że naprawdę nie może...

Tak było do niedawna. Nie wiele się zmieniło na lepsze i dziś. Ale trochę zmieniło się.

Przed czterema laty powstało z inicjatywy pani posłanki Prystorowej „Ognisko dla młodzieży od lat 14 do 20" przy ul. Wolność 14. Od tej chwili datuje się kontakt małych rajzerów i trampów ze społeczeństwem. Pośrednikiem jest nie policjant, nie sąd, nie strażnik więzienny — lecz dobra starsza pani, dająca swoim „urwipołciom" rzecz najcenniejszą pod słońcem — serce.

Kazimierz Wereszczyński.

Nowela „Młodych Oczu"

JERZY JASZCZUK

S Y N

Idąc z pola Zaremba rozmyślał, jak też teraz Bronek może wyglądać. Nie widział go już od trzech lat. Za namową nauczyciela z Sejn, gdzie Bronek składał maturę, wysłał Zaremba syna na studia rolnicze do Warszawy. Dał się namówić „panu profesorowi", spodobał mu się tytuł inżyniera i sama uczelnia przypadła do gustu. Nie tylko z tęsknoty oczekiwał niecierpliwie syna. Miał do niego kilka spraw. Był jeden z miasta, mówił we wsi o sztucznych nawozach, kazał gromadzie młocarkę kupić, wielu się godziło, wielu protestowało, Zaremba nie wiedział co o tym myśleć. Płacić trzeba, ale kto miał pierwszy z niej korzystać, kto potem naprawiać? Zaremba wstydził się przyznać, że cała ta sprawa bardzo mu się nie podobała. Usłyszał turkot wozu i dojrzał na gościńcu furmankę. Józiek wracał z miasteczka! Zarębę połechotało w gardle, serce zabiło mocniej, pobiegł przez sad na podwórze. Józiek wyprzęgał już kasztana, ale poza nim nie było nikogo. — Józek! — krzyknął. — Nie przyjechał! — odkrzyknął chłopak. Zaremba stał jakiś czas i w milczeniu zaczął chłopakowi pomagać przy wyprzęganiu konia. Gościńcem toczyła się równo bryczka zaprzężona w parę tęgich kasztanów. — Panienka ze dworu — rzekł Józiek — musi też z Warszawy przyjechala.

Zaremba spojrzał z zaciekawieniem, chciał coś rzec, gdy bryczka zboczyła z gościńca kierując się ku jego chałupie. — Ale niech pan pamięta — krzyczała ze śmiechem dziewczyna, kiwając ręką do towarzysza, który już zeskoczył ze stopnia bryczki i wymachiwał nad głową kapeluszem. — Dobra, dobra, napewno, — wrzasnął, gdy konie ruszyły. Zaremba patrzył na to wszystko, mało rozumiejąc. Nagle wybełkotał tłumionym przez wzruszenie głosem: — Bronek — Bronek. — Serwus tatusiu — krzyknął chłopak, biegnąc naprzeciw niego i rzucając się staremu na szyję.

— — — — — — — — — — — — —

Zaremba siedział przy stole naprzeciw otwartego okna. Głowę oparł na rękach i patrzył zmęczonymi, sennymi oczyma przed siebie. Jagienka spała, przycupnięta przy piecu, do którego przedtem dokładała co chwila chróstu, by ogień nie zagasł i wieczerza nie wystygła. W izbie czuć było zapach gotowanej kapusty z kiełbasą i silny swąd palonego jałowca, którego czerwone węgielki wypadały raz po raz z pieca i tliły się na podłodze. Na jasnym pasie nieba wyraźnie odbijały się ciemne kontury rozłożystych jabłoni i grusz, dalej czerniały ostre zarysy chałup i między nimi, gdzie gościniec przecinał wioskę, widniał pochylony krzyż. Oczy starego wpatrzone były w ten krzyż. Metalowy Chrystus przybity do drzewa błyszczał jak drogocenny kamień. Jasność zachodu migotała na nim, przygasała, zadrgała silniej — gasła. Zaremba zasnął...

— — — — — — — — — — — — —

Bój się Boga chłopaku, gdzie się ty po nocy podziewasz? — mamrotał Zaremba przecierając dłońmi oczy. — No też wiecie... niema jeszcze jedenastej — mówił krzywiąc się w ironicznym śmiechu chłopak. Zdjął marynarkę, przewiesił ją przez poręcz łóżka, sam zaś rzucił się bezwładnie, snać bardzo zmęczony na pościel. — Jagienka — krzyknął Zaremba na córkę, sterczącą niby kołek na środku izby. — No rusz się, nakrywaj. — Dziewczyna skoczyła jak oparzona, złapała ze stołu miskę. — Ja dziękuję. Nie będę jadł — rzekł Bronek spostrzegłszy te przygotowania. — Co ci jest? Możeś chory — zaniepokoił się stary. Przysiadł na łóżku i przyglądał się chłopcu, który wydał mu się dziwnie blady. — E, nic mi nie jest — też wam się przywidziało! Stary zmarszczył brwi. Zaleciało wyraźnie wódką. — Gdzieś ty był? — spytał. — We dworze. No, przecież wam mówiłem, że idę. — To aż do teraz? — Bronek najwidoczniej nie miał ochoty do rozmowy. Zaremba wstał z łóżka i usiadł ociężale przy stole. Kapusta była jeszcze ciepła. Spojrzał na Jagienkę, która trzymała kawał kiełbasy w palcach, zajadając ją ze smakiem, zerkając to na ojca, to na brata. — Nie bierz w pazury! Nie masz widelca, czy co — skarcił córkę. Jagienka speszona wrzuciła kiełbasę z powrotem do miski i dokładnie oblizała palce. Kolację jedli w milczeniu, starając się oboje zachować przy tym pewne formy. — Jutro — zaczął po jakimś czasie Zaremba, zwracając się do syna — mamy w wiosce zebranie. Chciałem z tobą o czymś pogadać. Myślałem, że przyjdziesz wcześniej. — A o czym to? Możecie mówić, bo, bo ja również mam wam coś do powiedzenia — ożywił się Bronek. — A no, widzisz — mówił stary gospodarz — instruktor chce, żebyśmy zaczęli używać sztucznych nawozów — a to przecież kosztuje. — A on znowu powiada, że to się gospodarzowi opłaca, że to niby, te pieniądze, co to na tego... urwał na chwilę. Spojrzał groźnie na Jagienkę, która właśnie miała zamiar włożyć do ust trzymaną w palcach, a zdjętą z widelca, skwarkę. — Że to widzisz, ciągnął dalej — te pieniądze, za które się kupuje nawóz, podobno się przy zbiorach wrócą. — No to się widocznie wrócą, kiedy on tak mówił — rzekł niedbale chłopak siadając na łóżku i zapalając papierosa. — Przecież ty się na tym znasz! — powiedział z naciskiem Zaremba, patrząc badawczo synowi w oczy. — A właśnie, że się już nie znam, bo widzicie, ja się już tym nie zajmuję. — Gospodarz odłożył łyżkę, otarł ręką usta i jakgdyby nie dowierzając uszom, spytał — Jak? — A no tak — Ja widzicie o tym do was nie pisałem, bo nie było po co. Nicbyście mi i tak nie doradzili, bo trzeba być tam na miejscu i poznać, jakie teraz w życiu panują stosunki. Ja się nie myślę, wiecie, w gnoju całe życie babrać. Już się i tak tego dosyć w życiu nawąchałem. Rozumiem, mieć duży majątek, to się, owszem, rolnictwo opłaci studiować. Bo to się wtedy na wielką skalę gospodaruje, zbiory można pomnożyć, ale na małym kawałku szkoda fatygi. — No, a po co inżyniera robić, aby potem chłopom sztuczny nawóz sprzedawać i jeszcze prosić, żeby kupić chcieli — o dziękuję bardzo! To nie dla mnie. — Przerwał, zaciągnął się dymem z papierosa i wolniej już mówił dalej. — Jestem na drugim roku prawa. Będę adwo-

katem. Przynajmniej czysta robota i można samym pyskowaniem dobre pieniądze zbić. Nie myślę na panów przy gnoju pracować, żeby potem jeden z drugim za chama mnie uważał. Mam równe prawo, a nawet większe do czyściejszej i lżejszej pracy, bo się chamem urodziłem a na nich się już dość napracowałem. — Wyciągnął się znów na łóżku, paląc w milczeniu papierosa. Zaremba wstał od stołu, podszedł do okna. Nic nie mógł mówić. Nie był pewien, czy dobrze Bronka zrozumiał. Ze skupioną twarzą patrzył w mrok nocy. Gdzieś daleko na końcu wioski ujadał pies. Odpowiedział mu szczekaniem Kruczek sąsiada, raz, drugi, potem zawył przeciągle, przejmująco i znów wszystko ucichło. Zaremba zamknął okno. Siadł na ławie. Spojrzał na syna. Bronek miał oczy przymknięte, oddychał ciężko i nierówno. Leżał z ustami otwartymi, z których zionął odór wódki. Ojciec wstał ciężko z ławy, popatrzył na córkę. Zdążyła się już rozebrać i położyć w kącie na kufrze, służącym jej za posłanie. Leżała jak kot i spała. Stary podszedł do łóżka syna. Widocznie też już zasnął. Niedopalony papieros tlił się między palcami. — „Ja ci już pieniędzy na naukę nie dam" — powiedział wolno, akcentując mocniej dwa ostatnie wyrazy. W tej chwili drgnął, bo syn na te słowa otworzył oczy. Spokojnie spojrzał na ojca zamglonym wzrokiem, widocznie bardziej pijany niż przedtem i odpowiedział. — Nie trzeba. Sprzedam swoją część ziemi. To mi na studia wystarczy. — Sprzedasz? Komu?! — spytał głucho Zaremba. — Dziedzicowi sprzedam, dzisiaj już nawet o tym mówiłem. Kupi — Ona mi pomogła go namówić. Odwrócił się na bok i nie rozebrawszy się nawet, po chwili zasnął. Maciej Zaremba stał jak wryty. Twarz miał teraz jakoś dziwnie obojętną. Wziął z kąta latarnię z pelikanem i wyszedł z izby do stodoły na swoje zwykłe leże. Czuł się zmęczony, jak nigdy.

— — — — — — — — — — — — —

Ocknąwszy się w nocy ze snu Bronek, uczuł silne pragnienie. W głowie szumiało mu, w gardle dławiło nieprzyjemnie, w ustach miał dziwną gorycz. Nie chciało mu się podnieść. — Myślał czyby nie zbudzić Jagienki. — Otworzył leniwie oczy. W tej chwili oprzytomniał. Już świtało. Zapomniał wczoraj powiedzieć ojcu, aby go zbudził o piątej. Miał być rano we dworze. Postanowili ubiegłego dnia pojechać „całą paką" na jezioro. — Psiakrew! — zaklął, przecierając oczy. Jasność wzmagała się z każdą chwilą. Wtem spojrzawszy w okno, struchlał. — Z przerażonych ust wydobył się przeraźliwy skowyt — Boże! Stodoła stała w płomieniach... — Ojciec!!!

— — — — — — — — — — — — —

Na pniach jabłoni i grusz migotała łuna pożaru. Czerwieniła daleko w rannej mgle chałupy i dalej pochyły kontur przydrożnego krzyża. Metalowy Chrystus przybity do drzewa błyszczał jak drogocenny kamień. Jasność migotała na nim, przygasała, zadrgała silniej, — gasła.

Jan Marszałek *(Łowicz)*

PRZEBUDZENIE

Tej nocy nie mogłem zasnąć w dusznym milczeniu sypialni —
bo wiatr za oknem rozbudził spłakane w drzewach melodie
W poświstach, jękach i szumach skarżył się, płakał (czy modlił — ?)
aż wreszcie rozwiał się w szumach, w potężny hymn tryufalny.
Pod cienkim smyczkiem poświstów na strunach lipowych alej
żałobny alarm przedświtu w ciemnej rozmiecion wichurze —
ciemną odpływał symfonią w zwichrzonej pod niebem chmurze,
jak duch melodii odwiecznej, w gwiezdnych dźwięczący metalach.
I huczał długo za oknem w przedwiośnia noc bezmiesięczną —
aż szumy grusz po ogrodach deszczem do płaczu rozrzewniał.
Rozbudził śpiące po haszczach jęki zgrzytliwe i gniewne
i w zimnej deszczem wichurze rozmiatał w hymn potępieńczy.

ELEGIA O PTAKU SAMOTNYM

Wtedy — nad drogą, jak żagle wzdęte huczały topole —
nad lasem ognisty zachód dogasał w kolorach pawich —
tłumione odgłosy kroków w jesiennej, zacichłej trawie
i dym gryzący na oczach w uwiędłych, zoranych polach.
Na mokrych przednocnych łąkach, gdzie zmrok rosami się szklił —
ptakiem zbłąkany samotnym pełzłeś schorzały na ogień —
co w dali sinej i ciemnej, za czarnej nocy stogiem
błędnym na bagnach płomieniem samotnie w mroku się tlił.
Groźnie rósł w tobie rozpaczny szalonej pieśni łopot,
gdy chłodno lśniący kłąb wiatru jesiennym durzył cię czadem —
gorycz wzbierała, jak wino, w zielonych zatruta jadach
i cierpły słowa na wargach.
W burzy nadciągał listopad —

FILM

Gdy zabierasz się do czytania tej wiosennej fantazji o najbliższym lecie, niech Ci się — Kolego Czytelniku — wydaje, że siedzisz w ciemnej sali i patrzysz na ekran, lub co lepsze, że oto jesteś reżyserem; montujesz sceny i dźwięk i kierujesz obiektywem. Lecz najlepiej będzie, jeśli choć przez chwilę poczujesz się j e d n y m z t a m t y c h, jednym z tej gromady, która tu żyje, rusza się, działa, opętana tym działaniem, latem, pewną myślą wreszcie. Jeśli myśl ta przemówi i do Ciebie, to rola tego nierzeczywistego filmu będzie skończona. Pojedziesz, spojrzysz, rękawy odwiniesz i spędzisz jedno lato swej młodości inaczej i trudniej, niż zwykle... Co, jak i po co? O tym właśnie za chwilę... Uwaga! Wyświetlamy!

JEDEN TRUDNY OBÓZ

(Obraz)

Pracownia fizyczna. Ostatnie stoliki pod ścianą — nad mostkiem Whistestone'a cztery roztrzepane czupryny. Na ścianie: termometr, zegar, kalendarz. Czwartek 24 marca, 1.35, plus 19 stopni C. (1) Wychodzą (2)... Na korytarzu gablotka — ogłoszenie: o 16-tej odprawa zespołu. Szybko obracają się wskazówki różnych zegarów: na wieży kościoła mijanej w drodze do domu, budzika na starej komodzie, precyzyjnej „Omegi" na ręce ucznia, tombakowej „cebuli" instruktora, spieszącego do szkoły na odprawę.

Kierownik zespołu czyta okólnik (3), mówi, dalszych słów nie słychać... ginie obraz odprawy; widać zespół w sali robót ręcznych przy strugnicach, wiertarkach, tokarniach, palnikach — na stos gotowych już pomocy padają nowe liczydła, szczotki, kartki ściennego alfabetu. Poruszają się w takt, rytmicznie, równo: pilniki, młotki, strugi (4)... ktoś rozwiesza na ścianie wykończoną przed chwilą mapę Polski — dotyka wskaźnikiem Drui, wskazując, dokąd powędrują po wystawie wykonane przez zespół pomoce. Obiektyw cofa się od mapy — widzimy ją zawieszoną w sali wystawowej między portretami J. Piłsudskiego i A. Skwarczyńskiego. Gromadka zwiedzająca wystawę — otwarte drzwi do następnej sali: zjazd okręgu. Na trybunie Naczelnik Organizacji. Skupione twarze, szybko biegnące po papierze ołówki... Mówi uczestnik (5). Sprawozdania z poszczególnych zespołów — obrazy: widać stosy wysyłanych książek, rozkładane po świetlicach pisma, zaciekawione twarze słuchaczy, rozbawione, roześmiane dzieci w przedszkolach i jordanowskich ogródkach.

W noc, między ślepymi torami przedmieść biegnie pociąg. Z otwartych okien — pieśń (6).

Kurs przysposobienia radiotechnicznego. Przy stoliku doświadczalnym dwóch (7).

Szkolna przystań wioślarska. Remont kajaków: uszczelnianie, malowanie, łatanie żagli, naprawa wioseł — piosenka (8).

Przed szkołą. Wymarsz na przystań. Kierownik składa raport dyrektorowi (9). Dyrektor: (10). Pierwsze pociągnięcia wiosłami — pierwsze łopoty żagli, po wiosłach ścieka srebrnymi, jak rtęć, kroplami woda. Płyną. Słońce praży w plecy. Leniwie zagłębiają się wiosła w wodę.

Wieczór. W wodę zapada słońce — daleko przed łodziami. Do brzegu! Część rozbija namioty — kilku rozpala ognisko.

...Idą dwójkami przez wieś. Śpiew: (11). Z chałupy wyglądają wyrostki. Jeden drugiego zwołuje (12).

Wysoki w niebo strzelający płomień i dym jałowca — biały obłok wabi ku sobie wieś całą. Schodzą się powoli, starzy, gospodarze, parobczaki, gospodynie, dziewczęta — dzieciarni chmara, zwabieni pieśnią.

(Dźwięk)

(1) Dzwonek...

(2) — Kiedy wreszcie się ta ciepła nuda skończy? Chętnie bym gdzieś wyprysnął...

— Chodź na wagary...

— Poco? Żeby się jeszcze bardziej nudzić?

(3) ...„W czasie zjazdu odbędzie się wystawa pomocy naukowych, wykonanych przez zespół dla szkół w „swoich wsiach".

— Wystawa ma być, ale pomocy jeszcze nie ma! Do roboty, koledzy!

(4) Szum wiertarek, wbijanie gwoździ, praca strugów.

(5) ...i możecie nam wierzyć, ob. Nacz., że każde nasze dzisiejsze „jestem" znaczy tyle, co: „Będę na obozie"...

(6) ...cyranecka nie ptoook, dziewcyna nie ludzieee!...

(7) ...będzie można wziąć aparat, ten duży „Elekrit" i zmontować na obozie stację nadawczą.

(8) ...płyniemy zwartą młodą gromadą na lot bałtyckich białych mew...

(9) ...melduję zespół gotów do spływu na obóz...

(10) Bóg was prowadź chłopcy...

(11) O dziewczynie co wołki na bukowinie pogubiła. O rozmarynie, co się rozwijał...

W kręgu migotliwego światła staje kierownik zespołu. Mówi:

...Już nie widać ogniska i przemawiającego, tylko wartko płynące w twardych klinach rzeki, wzdłuż: nowe wsie i miasta, piece ogromne i fabryki wielkie, maszerującą wielką armię. Widać zastępy junaków z łopatami, kilofami, dragi-olbrzymy zamieniające nieurodzajne poleskie błota w uprawne, żyzne pola... Muzyka: polonez As-dur, Etiuda rewolucyjna...

———o———

Płyną, walczą z deszczem i wichurą, z upałem i burzą.

Dopłynęli: do obozu.

Stoi małe miasto białych namiotów. Ustawione w rzędzie kajaki — ostatni przed raportem przegląd — na maszcie już łopocze wielka obozowa flaga. Powitanie — komendant obozu rzuca rozkazy.

Gorączkowa robota: siekiery, piły, młoty — do namiotowego miasta przybywają nowe „gmachy" — duże białe dziesięcioosobówki.

Pierwsza noc — pierwsza warta. W zamkniętym kole podmasztowej lampy równe kroki wartownika.

„Wypad" w teren: Wyładowane plecaki — aparaty fotograficzne — kierownicy zespołów pochyleni nad stołem uzgadniają z komendantem trasę: po mapie 1:100.000 wędruje od wsi do wsi, od jeziora do jeziora czerwony ołówek znaczący szlak wędrówki. Rus[illegible]. Ostatnie okrzyki. Na rozstaju obozowej drogi rozchodzą się w dwie strony dwa zespoły. Na drogowskazie: Czeresy 23 klm. i w przeciwnym kierunku: Brasław 31 klm.

Od jednego do drugiego kamienia milowego — od jednej do drugiej wsi i w każdej krótki postój, na głazach podkościelnych lub ławach przed chatami pogawędki z „tutejszymi" (13). Wieczorem w małej izbie w jakimś tam Dołkinowie czy Krycewiczach, z plecaka ukazuje się „ornak" — z futerałów akumulatory. Na pomarszczone rozpięte na ścianie prześcieradło padają obrazy: Gdynia — Śląsk — Tatry — Warszawa — Łódź — egzotyka odległej dla tych ludzi:: POLSKI.

Na łące trzech obozowiczów przysiada się do pasących konie parobków. Mali chłopcy popisują się jazdą konną. Jeden ze strażowców opowiada o służbie w wojsku: widzimy defiladę kawalerii, szarżę, ułanów wychodzących w niedzielę z koszar. Młody chłopak przykleja na płocie ogłoszenie: zapisujcie się do P. W. konnego.

W innej znów wsi po ognisku — przy dźwiękach obozowej orkiestry (harmonia, skrzypce, kornet, gitara)— zabawa. Komendant obozu prowadzi tańce — krakowiak, polka, kujawiak. A potym — gdy młodzi bawią się w kręgu ogniska na udeptanym jak podłoga klepisku, komendant na boku, na stosie gałęzi przysiadł z gospodarzami. Ugwarzają sobie społecznie o tym, o owym (14) — widzimy jak strażowcy bielą izbę, heblują tarcice, będzie stół, ława, biblioteczka, obrazy... W gminie gromada podpisuje uchwałę wspólnego utrzymywania świetlicy. Strażowcy będą z nią współpracować korespondencyjnie przez cały rok.

Na skraju wsi wkopano olbrzymi krzyż. Z tamtej strony Dźwiny obserwuje go przez lornetkę wartownik — od strony wsi nadciąga gromada ludzi — ksiądz święci krzyż. Mówi (15). Potem stary, siwy gospodarz wręcza komendantowi bochen chleba zawinięty w haftowany ręcznik — na pamiątkę.

Pada deszcz. Na rozmokłej, błotnistej grzęskiej drodze pracuje gromadka rozebranych do pasa chłopaków: kopią rowy odwadniające — droga prowadzi do szkoły — w szkole malują dekoracje na małej prymitywnej scence, inni wyciągają ze skrzyni przywiezione pomoce szkolne — ustawiają je w szafie, którą wykańcza kolega. Popołudnie — pusto w obozie — trzech uczestników z zespołu służbowego segreguje książki — rosną stosy: dla biblioteki szkolnej, strzeleckiej i „Siewu". Potem biedką K.O.P.-u

O legunie, co późną nocą do młyna nie mógł się dopukać.

(12) — Kaziuk! Patrzaj, chłopaki przyjechali z miasta!

— Nie wiesz ty, kto to?

— Straż Pierwsza, znaczy się, czy jak tam... śpiewać będą w ta pora...

„La Paloma"...

Śpiew w marszu...

...miała matka trzech synów, dwóch siedziało w domu, a trzeci co był łobuz, pojechał na obóz...

(13) — Wy kto?
— Swój.
— Jaki swój?
— Tutejszy.
— Prawosławny? Katolik?
— Katolik.
— A Polak?
...milczenie...

Oberek.

(14) — Świetlica toby się we wsi przydała, panie...

(15) Przyjechaliście tu z odległych miast Polski, by przynieść temu ludowi słowo o wielkiej ojczyźnie i pracę waszych rąk młodych. Daj Bóg, aby kiedyś gdy przyjdzie tego potrzeba, tak jak dzisiaj bronicie słowem i pracą tej ziemi — byście wszyscy stanęli w jej obronie z karabinami w ręku...

od świetlicy do świetlicy, od szkoły do szkoły — maleje stos książek na biedce. Wracają nocą — na ciemnym tle lasu bieleje sylwetka konia. Trzy głosy rwą ciszę: (16).

———o———

Gawęda. Rozsłonecznione lipcowe popołudnie, — na stopniach pustego dworku przysiadła grupa „włóczęgów". Dwa wielkie dworskie psy przyglądają się im z zaciekawieniem. Bractwo gada o tym, co który dostrzegł w czasie wędrówki. Nadchodzi gospodarz (17).

...Przy stole zasiadła gromada. Chleb wiejski i zsiadłe mleko znika w oka mgnieniu. Wieczorem po pracy za łaskawym gospodarza zezwoleniem w wielkiej stodole (deszcz pada) świetlica dla parobków folwarcznych. Mijają dni — zrywane wielkie karty obozowego terminarza — po tygodniu w niedzielę popołudniu za dworem na łąkach ćwiczy pod dowództwem K.O.P.-u oddział krakusów.

———o———

Nad jeziorem u stoku pagórka wielkie rozpalono ognisko: bielą się w jego świetle lniane koszule galowych mundurów. Sam komendant dziś prowadzi ognisko. Zapalił je najstarszy — przedstawiciel miejscowej ludności — chłop jak dąb stuletni, żagiew pod suche drzewo zatknął. Pada światło na twarze ludzi skupione, poważne. Wszyscy śpiewają: (18).

W płomienie padają słowa ślubowania: (19).

———o———

Ostatnia noc. Nikt nie śpi — tu i tam po obozie snują się grupy kolegów. Przy stołach siedzą — przed namiotami gadają (20).

Pobudka (21). Ostatnie śniadanie. Demontaż obozu. Rolowanie namiotów. Wyrównywanie okopywań i trawników. Fasunek „strawy" na drogę — długi wąż ludzi przed kuchnią.

Czwórkami — polną drogą — z walizkami i plecakami na dworzec — kajaki na ramionach — załadowane już do wagonów — kierownicy grup środowiskowych wykupują bilety w kasie — odjazd (22)!

Między pagórkami miasto zielone: W i l n o. Zostawiamy bagaże na dworcu — maszerujemy na Rossę — Sercu Marszałka złożyć hołd.

Zamarł w bezruchu dwuszereg — komendant salutuje.

(16) — jak dobrze nam głęboką nocą,
— wędrować bladą wstęgą szos,
— patrzeć jak gwiazdy niebo złocą,
— i czekać co przyniesie los.

(17) Gość w domu, Bóg w dom.

Muzyka: „Lekka kawaleria".

Baczność, na prawo patrz!

(18) Nie rzucim ziemi...

(19) W imię praw naczelnego...

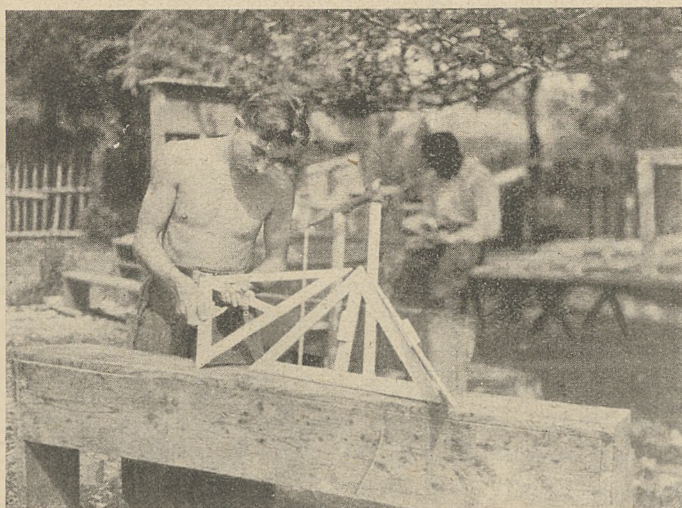
(20) Przeszły te cztery tygodnie, jak z bata strzelił...

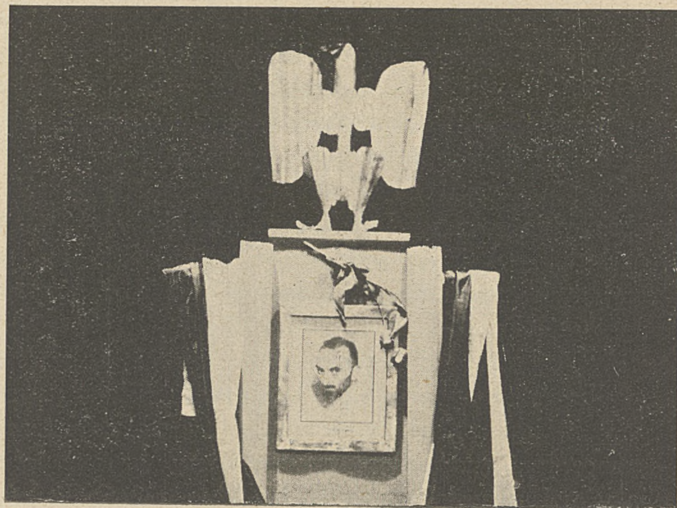
(21) Dźwięk trąbki.
— Ale coś poznał Brasławszczyznę...
— Dzisiaj nie ma repety.
Gwizd lokomotywy.
Stukot kół.

(22) Druja, kochana Druja,
To jedna z twierdz strażowych serc.

B r y g a d a.

Czesław Domaradzki


Trygonometria obozowa (pomoc dla szkół wiejskich).


Z uroczystości ku czci Pierwszego Prezesa S. P. Adama Skwarczyńskiego w Lublinie.

OBOZY HITLER JUGEND

„Obóz — to cel naszych marzeń, to najpiękniejszy sen młodości"! — tak pisze w swej książce poeta i „wódz" młodzieży niemieckiej Schirach. Ruch hitlerowski zmienił charakter letniego obozowania młodzieży, tak, jak usiłuje zmienić w ogóle jej stosunek do... przyrody. Niegdyś, przed przewrotem, wiodły w młodych Niemczech rej idee, głoszące „powrót do natury", czyli jak najbardziej naturalne a zarazem poetyczne zespolenie się młodzieży z przyrodą. Zdrowe hasła skautingu zostały podjęte przez natury rozegzaltowane i nabrały rychło specyficznego, marzycielskiego i aspołecznego zabarwienia. Różne związki „wędrownych ptaków" i „tropicieli" urządzały sobie corocznie „lato leśnych ludzi", poświęcone mistycznemu zjednoczeniu się z przyrodą, marzycielskim zachwytem, „ekstazie wschodów i zachodów słońca i księżyca".

Wychowanie hitlerowskie wydało walkę tej nastrojowości. Przyroda weszła w program życia młodzieży nie po to, aby dostarczać skomplikowanych i subtelnych wzruszeń, lecz aby służyć dla ekspansji młodzieńczej energii. Nie „dolce far niente" ale ruch i praca w warunkach naturalnych stały się treścią masowo urządzanych obozów. Że program ten budzi entuzjazm, nie mniejszy ale większy od poprzedniego, można to wyczytać z takiego oto urywka, pisanego w „Księdze młodości" przez jednego z HJ: „...Prężymy młode ciała, czołgamy się w zaroślach z nosem przy trawie, aż cierpka woń ziemi bije nam w nozdrza. Chcielibyśmy wgrzebać, wryć się w macierzystą ziemię. Krew przewala się żyłami szybko i mocno, krew — nasze największe szczęście, nasza święta rzeczywistość! Oto są nasze nabożeństwa, nasze modlitwy".

Formą „zorganizowanego" obcowania młodzieży z przyrodą stał się obóz wojskowy, a raczej obóz wojenny, bo obok żelaznej dyscypliny panuje tam duch starannie podsycanego „wrzenia ideowego". Psychika młodzieży niemieckiej jest inna od naszej. Więcej w niej egzaltacji, agresywności i pedanterii zarazem. Sprawna forma obozu, w którym łączy się „mistyka ziemi i krwi" z wyrobieniem fizycznym i żądzą walki, może na dusze tej młodzieży oddziaływać porywająco. Obóz ma przede wszystkim za zadanie przygotować dobry materiał bojowy. Miliony młodych Niemców, które rok rocznie wyjeżdżają na obozy, żyją w okresie letnim jak na wojnie. W ustawicznym ruchu, w ćwiczeniach, podchodach, musztrach i manewrach, „bawią się" w wszystkie formacje wojskowe aż do motorowych włącznie i ćwiczą się w wielu ich działaniach. Małe 10-cioletnie „pimpfy" bobrują gromadami w terenie jako służba pomocnicza. W służbie tej zaprawiają się także obozy żeńskie. Ten „młody naród" niczym nie różni się od armii, prócz wzrostu oczywiście. „Zglajchszaltowany" do ostatniego guzika, do jednakowego wymiaru każdego gwizdka, łopatki i latarki, niemal do jednakowego wyrazu twarzy, jest bezosobową masą, kierowaną jedną wolą — „Wille zur Macht", wolą potęgi. Nie od rzeczy będzie przypomnieć, że HJ przejęła hasło dawnych Artamanów, którzy na swym sztandarze wypisali: „Nach Ostland wollen wir fahren" (Chcemy jechać na wschód).

Inną formą zaprawy wojskowej w okresie letnim, połączonej z obudzaniem patriotyzmu, są dalekie wycieczki i marsze. Masy młodzieży przewalają się corocznie przez wszystkie schroniska, przez całe Niemcy, Gdańsk i Prusy Wschodnie. Masy wyruszają co rok na zdobycie kraju ojczystego t. zn. poznanie go, zrozumienie i pokochanie jego przestrzeni. „Walka o przestrzeń" dla narodu jest bowiem jednym z punktów ideowych Hitlerjungend.

Starsza młodzież szkół średnich i wyższych przechodzi obowiązkowo przez t. zw. służbę pracy, odbywaną na obozach specjalnych. Główną rolę spełnia tu łopata, uznana za broń pracy, równie zaszczytną jak karabin. Młodzież uczy się wysiłku fizycznego, prac melioracyjnych i rolnych, których sens ujęty jest w lapidarne i pełne wysokiego napięcia ideowego hasła.

Sporo fragmentów obozowych HJ może się nam dziś podobać, aczkolwiek duch tego wychowania i skrajnie masowe, przeciwjednostkowe formy budzić muszą zastrzeżenia. Nie to jednak jest ważne. Ważne jest, że młodzież ta rośnie po tamtej stronie naszej granicy zachodniej. O tym należy pamiętać. I być na to przygotowanym.

HENRYK NOWAK

ROLNIK.

Nie sięgam ukrytych kamieni
milionem lat ciężarnych
ktoś mi drogę zmienił:
idę polami i schylam się przy kłosach
i patrzę jak krwawi się rżysko od mych nóg
idę boso...

Jestem bogaty:
nici się przędą na jesiennych krosnach,
ciżbę słonecznych promieni nabiorę w naręcze,
jak snop złocisty nieść będę
w mój dom, z miedzianych stawiamy sosen.

Grzbiet gnie się i pot mi spada z czoła,
Nie krzyczcie, już mnie stąd nie odwołać;
pot piekący jak słońce złote i cieple.
Nie odejdę. Wrosłem drzewem i kamieniem skrzepnę.

Grzegorz Turkowski — WARUNKI I DROGI ROZWOJU GOSPODARCZEGO WSI POLSKIEJ.

Obrona małej i średniej własności rolnej — oto tytuł jaki należałoby nadać tej książce. Ogromna siła żywotna, zdolność przetrwania najmniej pomyślnego okresu, umiejętność zastąpienia nakładu kapitałów niesłychaną wprost ilością pracy; przeciętnie wyższa wytwórczość hodowlana i zbożowa w stosunku powierzchni niż w gospodarstwach folwarcznych — oto są walory gospodarstw średnich, które wysuwa autor, wołając wielkim głosem o planową, racjonalną parcelację. Nie zadawala się jednak wysunięciem tylko tego postulatu. Wykazuje, iż sama parcelacja nie wiele na tłok i biedę naszej wsi poradzi. Opierając się na zestawieniach liczbowych, dotyczących konsumentów kredytów rolniczych, zwraca autor uwagę na drugą równie ważną — jak głód ziemi — bolączkę, a mianowicie: dogodnego długoterminowego kredytu, któryby dotarł do gospodarstwa od 5 do 15 ha.

Autor w szczegółowym i skrupulatnym studium stara się uzasadnić słuszność swojej tezy: że gospodarstwo średnie góruje w gospodarce nad wielkim.

Książka ta to owoc mozolnych i trudnych badań. Jest uzupełnieniem omawianego już przez nas cyklu: „Ziemia i wojna". Warto więc zadać sobie trochę trudu i nie tylko przeczytać ją, ale wprost przestudiować, dla wyrobienia sobie realnego i twórczego stosunku do zagadnień najbardziej związanych z życiem gospodarczym Państwa. *Fr. Gr.*

NA ZDOBYCIE KRESÓW!

ROJSTY CHCĄ ŻYĆ

(Na marginesie „Buntu rojstów" Mackiewicza)

— Kto chce zrozumieć pisarza, musi udać się do jego kraju — powiada niemiecki poeta. Kraj autora — to nasze wschodnie lasy i błota, ubogie wsie i zamarłe miasteczka; — jego przyjaciele — to lud cichy i cierpliwy, wytrwale znoszący przeciwności, twardo trzymający się niewdzięcznej ziemi. Cóż rzec o tym „krzyku o życie" — bo tak trzeba nazwać „Bunt rojstów"? Książka uczciwa, wierzymy, że dokładnie, zbyt może dokładnie przedstawiająca smutną rzeczywistość — a jednak jakaś dziwnie jednostronna. Administracja? Nieudolna i złośliwa, K. O. P. — nie jest ludziom do szczęścia potrzebny, szkoła — no tak szkoła — ale bieda. Kolej? Ale wolno jedzie, port w Drui na Dźwinie — ale ruchu nie ma i stale to wieczne ale. Nie chodzi nam o jakiś hurra-entuzjazm, o „pedagogiczne" przemilczanie bolączek i zadowolone stwierdzenie „byczo jest". Nie — my wiemy, że dużo dziedzin leży u nas jeszcze odłogiem, że wiele pracy trzeba włożyć, aby stworzyć ludziom możliwe warunki życia, że trzeba piętnować nieuczciwość i nieudolność. Tutaj jesteśmy z autorem w najzupełniejszej zgodzie. Chodzi nam jednak o coś innego, — o postawę wobec tych zjawisk, o nieodnoszenie się do nich z wybaczającą, bolesną miną męczennika, wołającego nieomal „przebacz mu"... (t. zn. państwu) — „bo nie wie co czyni". Taka postawa nie znajdzie u nas oddźwięku. Państwo — to my i oni, ci właśnie wegetujący chłopi. Tylko od nas, od naszej zdolności wydobycia z siebie wielkiego wysiłku i wielkiej wytrwałości zależy, czy na wschodzie będzie nadal ciemno i głodno — czy też krok za krokiem walczyć tam będziemy o lepsze jutro.

Lecz, aby ta walka mogła być czymś innym niż szamotaniem się uczciwego „defetysty" (postać z „Buntu rojstów") musi zniknąć atmosfera „naplewat — i tak wszystko diabli wezmą". Jest źle, są ludzie nierozumiejący swoich zadań? No to będzie lepiej! Ludzie bowiem albo się nauczą jak mają pracować, albo pójdą „na grzybki", przyjdą nowi, sprawniejsi. Dzięki bogu ludzi mamy dość, trzeba ich tylko umiejętnie wykorzystać. „Bunt rojstów"? Wolelibyśmy inaczej: — Rojsty chcą żyć!

Jednego nie można autorowi zaprzeczyć. Zadał sobie trud przedstawienia kraju, znanego nam przeważnie z większych uroczystości i w odświętnym stroju. Mackiewicz miał odwagę pokazać rzeczywistość tragiczną. Bo jakże mało o tym kraju wiemy? Znamy Śląsk, śledzimy żywo rozwój K.O.P-u, z dumą patrzymy na Gdynię, pociąga nas Szwajcaria Kaszubska i wiele innych zakątków Polski. Lecz od krainy jezior, puszcz, krainy rojstów oddzieliliśmy się przestrzenią niewiedzy. O ile bowiem znamy zwyczaje i życie innych kresów Polski — o tyle Wschód w większości wypadków stanowi dla nas ciągle jeszcze zagadkę.

„Bunt rojstów" — to materiał o doniosłym znaczeniu państwowym. Momenty pesymizmu wyznawanego przez autora mogą pobudzać myśl czytelnika do konkretnego czynu. Nie powinny oddziaływać defetystycznie. Zbyt rzadko spotykamy na półce książkę omawiającą w tak ciekawy sposób zagadnienie Kresów, książkę dającą obrazy, które każą już dziś, zaraz działać — bo tam jest „bunt"! — rojstry chcą żyć! — Do tego mają prawo!

MŁODZI NA WSCHÓD

Jedną z najważniejszych naszych spraw politycznych, socjalnych i gospodarczych, jest podniesienie stanu kresów, zrównanie ich pod względem gospodarczym i kulturalnym z resztą Polski, zatarcie olbrzymich różnic, istniejących między dzielnicami centralnymi i zachodnimi a wschodnimi połaciami naszego kraju.

Mówi się o tym i pisze wiele — robi wciąż za mało.

Do tego ogromnego działu pracy powinni przystąpić młodzi. Oni są najbardziej powołani z wielu powodów. Oni mają siły i zdrowie mniej wyczerpane, niż u starszego pokolenia, niestarty życiem zapał do pracy i świeżą inicjatywę. Młodzi też nie są zwykle „zasiedziali", zadomowieni w stosunkach rodzinnych, pracowniczych, towarzyskich, tak, jak starsi — młodzi szukają, wybierają sobie pracę, niechże więc kierują swój wybór tam, gdzie tyle pracy czeka i leży odłogiem.

Wszyscy wiemy, czytamy powtarzane wielokrotnie statystyki, stwierdzające dotkliwy brak fachowców w wielu specjalnościach. Jeżeli już „prowincja", nawet bliższa większych miast i ośrodków kraju, jest pod tym względem licho uposażona, to na kresach wschodnich stan rzeczy jest wręcz katastrofalny. Brak pomocy lekarskiej, porady prawnej, trudny do uwierzenia brak weterynarzy, kupców, przedsiębiorców, architektów i t. p.

W niektórych powiatach wileńszczyzny nikt nie leczy inwentarza, bo powiatowy weterynarz musiałby chyba być w 10 osobach, a prywatnego nie ma. Dochodzi do tego, że niektórzy synowie ziemian studiują zamiast agronomii weterynarię, aby nie być zupełnie bezradnymi.

Na ziemiach kresowych brak dentystów, instruktorów gospodarczych i spółdzieczych, kupców i rzemieślników, techników i t. p. a tymczasem zapotrzebowanie jest bardzo duże.

Mówi się przy tym wiele o ubóstwie kresów, tymczasem nie jest tak źle. Obecnie, wskutek corocznej emigracji sezonowej do Łotwy, ludzie przywożą stamtąd pewien zasób gotówki i zwracają się ku namiastkom cywilizacji i mody, nie mając porządnego towaru i prawdziwej kultury.

Brak tej kultury odstręcza od miasteczek kresowych nie tylko mieszkańców innych dzielnic, czy większych miast, ale nawet autochtonów, którzy, kształcąc się w różnych specjalnościach, nieraz najpotrzebniejszych w swej rodzinnej okolicy, osiadają po ukończeniu nauki — gdzie indziej.

Istotnie — nie ma dobrych dróg, nie ma bibliotek, teatrów, porządnego kina, często nie ma nawet przyzwoitego mieszkania.

ale nie ma również i nie będzie żadnego sposobu, aby to wszystko zrobiło się samo. Trzeba, żeby na kresy napłynął zastęp młodych, wykwalifikowanych i dobrych pracowników — nie jeden, lub paru, ale dziesiątki i setki.

Na tle ogólnego rozwoju gospodarczego, który musi spowodować zwiększenie zarobków — rozwinie się niewątpliwie i szersza akcja kulturalna. Lud kresowy jest i zdolny i chętny, garnie się do oświaty i kultury i wdzięczny jest za każdą rzetelną pracę, pomoc i radę. Jest jednak mądry pierwotnym rozumem intuicyjnym i doskonale umie rzetelność i prawdę tej pracy ocenić. Jeżeli daje się dziś niejednokrotnie wyzyskiwać wiejskiemu spekulantowi — to nie dlatego, żeby się w tym nie orientował, lecz dlatego, że nie ma nikogo, ktoby swą pracą przyszedł mu z pomocą i zapewnił poprawę bytu.

I jeszcze jedno — najważniejsze. Ta poprawa bytu gospodarczego i kultury podniesie wysoko na kresach powagę i siłę państwa, wpoi na tym wystawionym na zakusy obcej propagandy terenie świadomość, że Polska przychodzi z dobrą nowiną i mocnymi walorami trwałego, bezpiecznego bytu, co wzbudzi poczucie nierozerwalnej z państwem łączności.

Na młode siły i młode mózgi czekają te wszystkie zadania — niechże nie czekają napróżno.

WIOSNA W NOWOGRÓDKU

Na rynku nowogródzkim wiosna objawia się w inauguracyjnym jarmarku wiosennym. Tym razem wielki jarmark jest nieco spóźniony, jak sama wiosna północy. Sciągnął włościan najbliższej okolicy i odbywa się pod znakiem wiosennych przeobrażeń ziemi i człowieka. Ziemia potrzebuje zasiewów, człowiek zrzuca swą zimową sókrę, co nie jest tutaj bynajmniej przenośnią. Jasno-brunatną skórę, porosłą wewnątrz korzuchem, w której człowiek tkwi większą część roku. Targ odbywa się na nasiona, na len i samodział, wapno, kartofle, drzewka owocowe, garnki, postoły, zrzadka zaś na kilimy i używany sprzęt domowy.

Wielka przestrzeń nowogrodzkiego rynku wypełniona jest ciżbą w korzuchach, brunatnych jak niezliczone grzywy końskie, zatłoczona wozami i zasłana sianem i rozłożonymi na wozach i ziemi produktami. Małe konie równin kresowych, obrócone ku wozom i okryte kolorowymi „dzieruszkami" z lnu, zanurzają łby w zeszłoroczne siano. Sam proces handlu jest tu pozornie niewidoczny. Gubi się w długich i skupionych naradach, prowadzonych grupami, gdyż oprócz sprzedającego i kupującego potrzebna jest do tego gromada doradców i obserwatorów, rozważających, próbujących i kiwających głowami.

Te rozważania, obserwacje i badania, to zajęcie raczej starszych. Wszyscy są brodaci, w futrzanych podwiniętych czapach myśliwskich, nasuniętych głęboko na oczy, w przepasanych postronkami korzuchach, samodziałowych spodniach i postołach, z kosturami w ręku. Od młodych bije zawadiackością i humorem. Stoją w grupach, potrącają się wzajemnie, buchając co chwila śmiechem. Oblegli stragan z trepkami i czapkami. Obok nowych trepków sprzedaje się stare, ze szczerniałej, zużytej skóry.

Jedna z grup otoczyła właśnie nabywcę nowej czapki. Na dnie czapki widnieje etykietka: „The English Casquette — London". Jeden z nich zdejmuje swą futrzaną czapę i usiłuje wśród wybuchów śmiechu przymierzyć kaszkiet. Korzysta z tego drugi i wyrywa mu z ust ogarek papierosa. — Dawaj, ty, ja sam wział — ogarek krąży tymczasem ćmiony zawzięcie, z ust do ust. Obok na błotnistym bruku rozłożono mały antykwariat: stary mosiężny samowar, nowy testament po białorusku, wyszczerbiona brzytwa, lusterko. Sprzedawca czeka cierpliwie i w milczeniu na nabywców. Niema żadnego straganu z tanim towarem jarmarcznym. Nikt nie krzyczy i nie reklamuje towaru. W sklepikach przy straganach ciżba. Brody i chałaty sprzedają, brody i kożuchy kupują. Zawodzi głośno ślepy dziad, zbierając do glinianego kubka częste datki. Ktoś kładzie mu, przechodząc, kawałek cukru.

W środku rynku stoi posterunkowy, badawczo obserwując ludzi. Od bliskiego grona odrywa się ktoś, szybko podbiega do posterunkowego i podaje mu złotówkę. Posterunkowy ogląda monetę, kiwa głową i zwraca. Prawdziwa. Jakaś starowina naprzykrza się szczególnie długo z 20-groszówką.

W uliczce prowadzącej na targ tłoczą się u wejścia do niskiego budynku grupy kobiet. Mieści się tu spółdzielnia lniarska, t. zw. „Bazar Przemysłu Ludowego", gdzie odbywa się skup samodziału, ziół lekarskich i miejscowej ceramiki ludowej. Wielkie plakaty w oknach pouczają o konieczności uprawiania lnu i roślin leczniczo-przemysłowych, jak kminek, mięta, rumianek, sporysz, zaliwce i t. d. Wewnątrz bazaru len pod różnymi postaciami: prześcieradła, sienniki, wsypy, poszewki, wózki, płachty, tkaniny kolorowe i t. zw. „dzieruszki", a nawet sukienki, koszule i krawaty. Bazar skupuje len w całym województwie i organizuje zbyt przez centralę wileńską na całą Polskę.

Len — „błękitny uśmiech pól nowogródzkich" — jest tu nie tylko przedmiotem handlu. Jest tradycją i przyszłością tej ziemi i jej chłopa, nieskłonnego do odmian, jak sam Nowogródek — rdzennie włościańska stolica tej ziemi.

A o kilka kroków dalej u skraju bocznej ulicy bieli się niepozorny dworek. Z tablicy na nim umieszczonej wyczytać można, że spędził tu swe dzieciństwo — Adam Mickiewicz.

PRZED NOWĄ OFENSYWĄ KOMINTERNU

List Stalina do komsomolca Iwanowa stwierdził ponad wszelką wątpliwość, że Sowiety nie wyrzekły się planów wywołania światowej rewolucji bolszewickiej. Wywrotowa akcja Kominternu będzie prowadzona ze wzmożoną siłą, jak świadczy o tym zapowiedź „wzmocnienia więzów łączących klasę robotniczą Z.S.R.R. z klasą robotniczą państw burżuazyjnych". Już na VII Kongresie Komiternu opracowano nową taktykę komunizmu, która sobie zyskała popularność pod nazwą taktyki „konia trojańskiego".

Główną wytyczną uchwał VII Kongresu była wspólna praca z ugrupowaniami lewicowymi, montowanie „Frontów Ludowych" i organizacja walki z „faszyzmem", przy czym za faszystowskie okrzyczano organizacje i prądy narodowe, przeciwstawiające się wszelkim międzynarodówkom.

Schowano do lamusa całą frazeologię komunistyczną, zapomniano o „socjal-faszystach" i „socjal-zdrajcach". Komunizm na terenie Polski zaczął się przemalowywać na kolory: biały i czerwony. Tajne instrukcje Komunistycznego Zjazdu Młodzieży były szczytem perfidii. Nakazują one komunistom wstępować do legalnych organizacyj młodzieży zawodowych, politycznych, społecznych, kulturalnych a nawet sportowych i prowadzić tam robotę wywrotową pod płaszczykiem patriotycznej troski o... obronność Polski, rozwój życia narodowego, a nawet... religijnego.

Robota prowadzona jest z początku bardzo ostrożnie. Bada się nastroje i uderzywszy w odpowiedni ton, zaczyna agitację. Motywem najczęściej wysuwanym jest niebezpieczeństwo „faszyzmu" dla demokracji, dla całości granic Polski, dla swobodnego rozwoju życia zawodowego, społecznego i religijnego. Potym zaczyna się mówić o konieczności zjednoczenia mas ludowych i robotniczych na płaszczyźnie walki o t. zw. „demokrację parlamentarną", czyli o nawrót do stosunków, którym musiał położyć kres Marszałek Piłsudski w maju 1926 r., aby ratować Polskę z odmętu anarchii.

Akcja Kominternu w mobilizowaniu energii stronnictw w obronie t. zw. „swobód demokratycznych" jest akcją zmierzającą do rozbudzenia gwałtownych namiętności politycznych, do dezorganizacji życia wewnętrznego Państwa, do osłabienia jego spoistości i siły, do wydania na łup obcych wpływów.

gadu-gadu

OSTATNI MOHIKANIE

Nareszcie za dwa lub trzy tygodnie opuści szkołę pokutujący, jak zły duch ostatni Mohikanin starego reżimu — o s t a t n i ó s m o k l a s i s t a. Przez pięć lat ucieka, jak przed groźną zmorą przed „nowymi“, nie wolno mu nigdy było pozostać na drugi rok w tej samej klasie, nieszczęśnikowi. Dobrnął wreszcie do tej ostatecznej przystani, klasą ósmą nazwanej i jakież spotkało go rozczarowanie! Miast chodzić w glorii i chwale, jak jego sławetni poprzednicy, zepchnięty został w szkole do roli podrzędnego pionka, gdyż teraz jego miejsce zajęła n o w a k l a s a „l u d z i n a d c h o d z ą c y c h“ — I lic. A on, biedak ofiara postępu stał się w szkole niepotrzebnym sprzętem, uczniem nadprogram, któremu miejsca udziela się raczej z łaski, niż z potrzeby i na którego się czeka, by... jak najprędzej sobie już poszedł. Dla tego męczennika idei już od lat kilku nie drukowano podręczników, ani nawet bryków — musiał się zadowolić pozostałymi po poprzednich generacjach resztkami.

Obija się dziś po szkole ten zabytek zamierzchłych, archaicznych czasów, gdy to wieczorki szkolne kończyły się grubo po dwunastej, gdy nie było jeszcze ani mundurów ani tarcz na rękawach i nikomu się nie śniło o chodzeniu do teatru po południu, parami i z panem profesorem, jako interpretatorem tekstu „Balladyny“.

Dzisiaj nareszcie odchodzi ten staroświecki typ, który dokładnie wiedział, ile kości jest w czaszce ludzkiej i dlaczego obliczać należy teoretycznie objętość ostrosłupa i stożka za pomocą granic dwu ciągów zbieżnych, typ, który nie grywał w piłkę nożną w szkolnych klubach sportowych, ale za to uprawiał ten sport potajemnie w klubie, dla którego nie sporządzano specjalnych preparacyj tekstów naukowych, żeby mógł sobie łatwiej przyswoić minimum wiedzy. Nowy typ ucznia jest raczej tych dwu krańcowych reprezentantów s y n t e z ą: coraz częściej spotyka się d o b r y p ł y w a k, k t ó r y u m i e ł a c i n ę n a p i ą t k ę i m a t e m a t y k g r a j ą c y d o b r z e n a b r a m c e. To jest pocieszające.

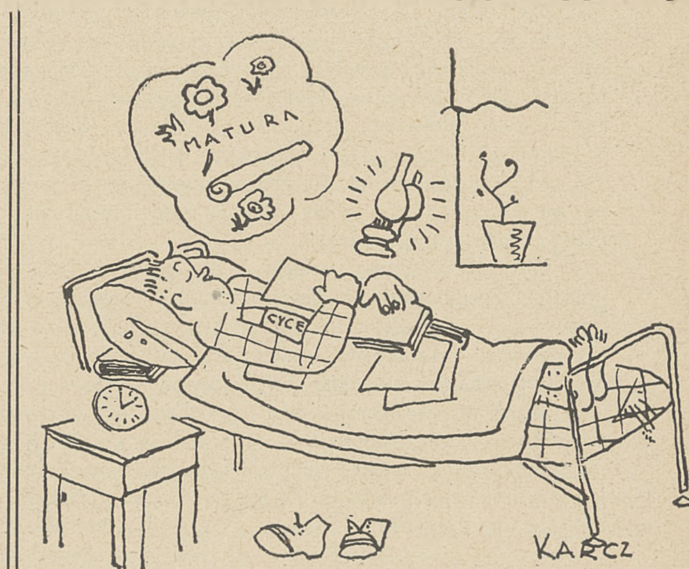
Teraz jednak w chwili, bądź co bądź dla najstarszej dzisiaj generacji uczniów przełomowej, oddajmy im hołd: Cześć ostatnim Mohikanom!

K. K.

KARCZ **MAT**



Ostatni dzień



Ostatnia noc

CZORTEK

Z szkolnego Olimpu.









LISTY DO REDAKCJI.

CZY MATURA?

Ukończono szczęśliwie reformę 4-ch klas gimnazjalnych i 2-ch licealnych. Reformie towarzyszyły biadolenia starych profesorów, starszych panów, którzy byli przecież za c. k. Austrii w 3-ciej „normalce" i — szczere uznanie uczniów. Niektórzy z nich mówią, że jeszcze jedna taka reforma, a gimnazjum będzie w 100% odpowiadało wymaganiom życia. Cześć tym, którzy ją z poświęceniem przeprowadzili, walcząc dzielnie z 8 potęgą świata — zardzewiałym konserwatyzmem.

Jedna tylko kwestia nie została załatwiona — zakończenie 2-ch klas licealnych. Ministerstwo W.R. i O.P. opracowuje projekt, a liczne gazety rozpoczęły publiczne dyskusje. W jednym z artykułów „Gazety Polskiej" rozpoczęto dyskusję stawiając zasadnicze pytania. Autor wspomnianego artykułu pyta: Czy zachować maturę? Czy wprowadzić nową formę egzaminu? Matura czy egzamin uniwersytecki? Jaka ma być forma, a jaka treść przyszłej matury?

Musimy się wypowiedzieć, przeciwko maturze i egzaminowi uniwersyteckiemu. Dwa egzaminy to dużo. Egzamin jest bardzo wyczerpujący, zwłaszcza matura. Wartość jej w porównaniu do wysiłku ucznia jest minimalna.

Egzamin uniwersytecki też nie jest więcej wart. Profesor nie może przez kilkadziesiąt minut ocenić inteligencji ucznia, który jest zazwyczaj bardzo zdenerwowany.

Jeżeli ewentualny egzamin ma dokonać selekcji, to wyniki będą bardzo wątpliwe. Tę rolę spełniają t. zw. „małe matury". Podwójna selekcja jest zbędna.

Liceum powinno kończyć się bez egzaminu. Uczniowie z wynikiem b. dobrym i dobrym otrzymaliby dyplomy upoważniające bez egzaminu na wstąpienie na odpowiednie działy uniwersytetu. Uczniowie z wynikiem dostatecznym byliby egzaminowani przez komisję uniwersytecką wraz z tymi, którzy przeszli n. p. z wydziału klasycznego liceum na technikę. Ci zaś, którzy dostali w liceum wynik niedostateczny, musieliby „repetować". Projekt ten nie jest najlepszy. Może ktoś z Czytelników ułoży inny?

J. NAJDER (Lwów)

Ukazała się ostatnio cenna publikacja Min. W. R. i O. P., zestawiona przez dr. Halinę Wittlinównę p.t.: „Atlas szkolnictwa wyższego".

Bardzo interesujące jest zestawienie liczby wydanych dyplomów według lat studiów.

Okazuje się, że tylko 21% studentów kończy studia w przepisowym czasie. Na 5.685 dyplomowanych absolwentów, kończących w roku 1933/34 skończyło w czasie normalnym tylko 1.226. Ponieważ „łatwość" kończenia występuje wyraźnie w trzech gałęziach — prawo, farmacja i dentystyka, po wyeliminowaniu tych grup, stosunek kończących studia w przepisowym czasie spada do 10%.

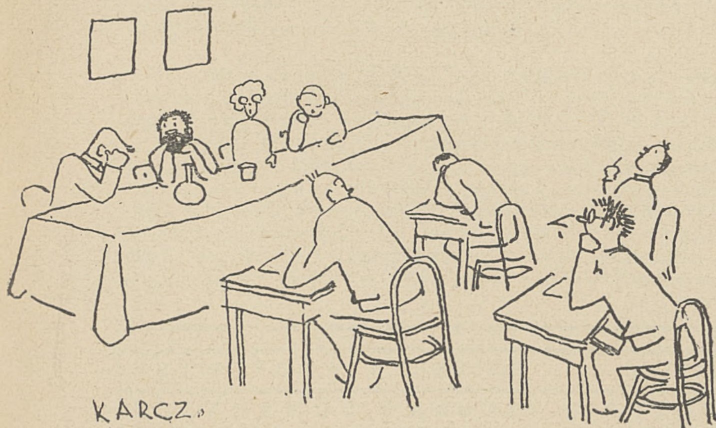
Najwięcej opóźnień w kończeniu studiów widzimy na wydziałach *technicznych*. W normalnym czasie 4 lata na 616 dyplomów wydano tylko 3, z opóźnieniem rocznym — 46, dwuletnim 102, trzechletnim — 87, czteroletnim — 93, pięcioletnim i większym 285. Z tego wynika, że 46% kończących studentów nauk technicznych uzyskuje dyplom po 9-ciu i więcej latach.

Może słuszna jest opinia, że na wydział prawny idzie się, by otrzymać w rekordowym czasie „papierek", bowiem na 1.789 dyplomów wydanych w r. 1933/34, aż 682 wydano po normalnej liczbie lat studiów, a zaledwie 21% z opóźnieniem sięgającym ponad dwa lata.

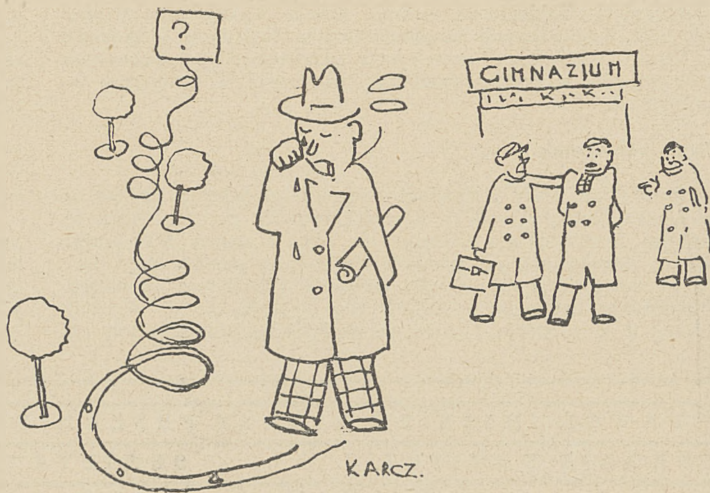
Podobnie przedstawiają się stosunki na dentystyce. Na 95 dyplomów 83 wydano po przepisowej liczbie lat studiów, 11 z opóźnieniem rocznym, — 1 z opóźnieniem dwuletnim.

Ciekawa jest rubryka „przepisowa liczba lat studiów" na każdym wydziale. Najkrótsze są studia trzyletnie — w Szkole Nauk Politycznych, Wyższej Szkole Dziennikarskiej, wyższych szkołach handlowych oraz na wydziałach wychowania fizycznego. Najdłuższy okres studiów na medycynie (prawie 6 lat).

U R A



...Już!!



Zdałeś? No, No!... A co teraz?

KRONIKA STRAŻOWA

UROCZYSTOŚCI KU CZCI Ś. P. ADAMA SKWARCZYŃSKIEGO.

Uroczystości ku czci ś. p. Adama Skwarczyńskiego, Założyciela i Pierwszego Prezesa Organizacji odbyły się w podniosłym nastroju na terenie Okręgów i zespołów.

W Warszawie Prezydium Rady Naczelnej i Gł. Wydz. Wyk. oraz poczet sztandarowy wzięły udział w dn. 2 kwietnia w żałobnym nabożeństwie w Katedrze św. Jana. Wieczorem tegoż dnia Prezydium Rady Naczelnej, GWW. i zespoły warszawskie złożyły hołd pamięci swego Prezesa, składając wiązankę kwiatów na grobie A. Skwarczyńskiego na Powązkach. W Łodzi odbył się zlot młodzieży, poświęcony pamięci A. Skwarczyńskiego, w którym wzięło udział około 300 uczestniczek i uczestników oraz członków kadry instruktorskiej. W zlocie wzięli udział obok młodzieży również członkowie Rady Okręgowej oraz p. p. przełożone i dyrektorzy szkół średnich. Przemówienie o ś. p. Adamie Skwarczyńskim wygłosił Naczelnik Organizacji M. Witkowski.

W Lublinie odbyła się uroczysta akademia ku czci ś. p. A. Skwarczyńskiego, w której udział wzięli przedstawiciele władz wojskowych z p. gen. Smorawińskim, Dowódcą OK, oraz przedstawiciele władz szkolnych.

Ponadto rozgłośnie warszawska i lwowska nadały audycje poświęcone ś. p. A. Skwarczyńskiemu, opracowane przez instruktorów i uczestników S. P. W prasie zaś ukazały się artykuły i wzmianki.

Zjazdy okręgowe żeńskie Straży Przedniej.

1) W Katowicach dn. 20.3. b. r. odbył się zlot uczestniczek i kadry instruktorskiej Okręgu Śląskiego pod przewodnictwem Naczelniczki Okręgu ob. Janiny Otto. W zjeździe wzięli udział przedstawiciele Władz Szkolnych i Naczelniczka Organizacji ob. Posseltówna. Pierwsza część zjazdu była poświęcona złożeniu hołdu Pierwszemu Marszałkowi Polski J. Piłsudskiemu. Część tę bardzo pięknie opracował Zespół z Państw. Seminarium w Mysłowicach.

Omówiono na zjeździe stan pracy w Okręgu, zamierzenia na przyszłość i sprawę obozu na Wileńszczyźnie. W tym roku Okręg przenosi się z obozem na granicę litewską w okolice Dukszt. Od szeregu miesięcy trwa praca przygotowawcza, zmierzająca do gruntownego zapoznania się z nowym terenem pracy.

2) Zjazd Okręgu Łódzkiego, łącznie obu odcinków, odbył się dnia 3 kwietnia w Łodzi. Pierwsza część uroczysta wiązała się z rocznicą śmierci założyciela naszej Organizacji. W drugiej części zlotu omówiono sprawy Okręgu, organizacji pracy i obozów. Odcinek żeński przewiduje w tym roku organizację 2 obozów letnich—jednego na dawnym terenie koło Drui nad granicą łotewską i drugiego, o charakterze półwędrownym, dla ośrodków zachodnich w powiecie wieluńskim.

Akcja obozowa.

Tegoroczne męskie obozy S. P. będą skupione przeważnie na terenach Brasławszczyzny, Pomorza i Podola. Cechą wyróżniającą, jak zwykle, obozy te od innych obozów młodzieży będą prace realizacyjne o charakterze społecznym, które strażowcy podejmą w terenie.

Młodzież akademicka weźmie udział w obozach okręgowych oraz 2-ch obozach akademickich w Narzymiu i Okopach św. Trójcy. Wszystkich uczestników obowiązuje przygotowanie się do obozów w myśl wskazówek, zawartych w biuletynie informacyjnym.

Zmiany personalne.

Prezydium Rady Naczelnej zwolniło na własną prośbę ze stanowiska Naczelnika Okr. Lwowskiego ob. dr. Wł. Stabryłę, mianując Naczelnikiem Okręgu ob. Wł. Kunisza, Kierownika Obwodu Jarosławskiego; zwolniło na własną prośbę ob. J. Selzera ze stanowiska Kierownika Obwodu Stryjskiego, powierzając pełnienie obowiązków Kierownika Obwodu ob. A. Wachulce, Instr. S. P. w Stryju. Prezydium Rady Naczelnej przesłało ob. dr. Stabryle i ob. Selzerowi podziękowania za ich dotychczasową, tak owocną i cenną dla Organizacji pracę.

Zjazdy i konferencje.

W dniu 13.III. b. r. odbył się we Lwowie zjazd Instruktorów i Kierowników Obwodów z terenu Okręgu, poświęcony sprawozdawczości oraz zagadnieniom organizowania obozów Okręgu. Zjazd zaszczycił swą obecnością p. Kurator Okręgu Lwowskiego Dr. T. Kupczyński z p. Naczelnikiem Wydz. Szkół Śred. Dr. M. Ziemnowiczem. Władze organizacyjne reprezentowali Naczelnik Organizacji ob. M. Witkowski oraz Instr. G.W.W. ob. W. Glazer.

Dnia 27.III. b. r. odbył się w Brześciu n/B. zjazd kierowników zespołów i instruktorów z terenu Okręgu. Tematem obrad były sprawozdania z pracy zespołów oraz projekty akcji obozowej. Wszyscy uczestnicy zostali zobowiązani do zapoznania się z terenami obozów pod względem narodowościowym, gospodarczym itp.

Dnia 2.IV. odbył się w Łodzi zlot uczestniczek i uczestników z terenu Okręgu, w którego części kierownicy zespołów składali sprawozdania ze swojej działalności. Na zakończenie odbyło się ognisko z udziałem orkiestry strażowej, uczestników zlotu i gości.

W obu tych zjazdach brał udział Naczelnik Organizacji ob. M. Witkowski, który ponadto w dniach 19.20.III. wyjeżdżał do Lwowa, Stryja i Jarosławia, celem odbycia konferencji z Instruktorami, Kierownikami Obwodów i Naczelnikami Okręgów.

Zarządzenia.

Naczelnictwo Organizacji przypomina o obowiązku punktualnego wpłacania prenumeraty za n-ry „W Młodych Oczach" i broszurę „Takiej Polski chce Józef Piłsudski". Wszystkie zaległości z tytułu prenumeraty oraz wymienionej broszurki winny zostać uregulowane najpóźniej do dnia 1. VI. 38 r.

Naczelnictwo Organizacji zwraca uwagę na konieczność szerszego kolportowania pisma „W Młodych Oczach" i stworzenie przez to podstaw finansowych dla rozszerzenia wydawnictwa.

Wobec przygotowania przez G.W.W. nowego wzoru legitymacji organizacyjnych G.W.W. będzie wymieniał dotychczasowe w czasie od 5.V. do 20.VI.38 r. Szczegółowe zarządzenia w sprawie wymiany legitymacji wydadzą ob. Naczelnicy Okręgów.

Wobec nadsyłania przez zespoły zgłoszeń na odznaki organizacyjne przypomina się, że zgłoszenia te wraz z opłatą należy przesyłać pod adresem ob. Naczelników Okręgów, załączając wpłaty w wysokości 50 gr. od uczestnika na pokrycie kosztów administracyjnych. Zgłoszenia bez opłat lub nie zawierające imiennego wykazu uczestników nie będą uwzględniane.

WYDAWCA IMIENIEM STRAŻY PRZEDNIEJ: BOLESŁAW WASYLEWSKI
REDAGUJE KOMITET SEKRETARZ REDAKCJI: CZESŁAW DOMARADZKI
Zakł. Graf.-Introl. J. DZIEWULSKI, Warszawa, Senatorska 10.

Odpowiedzi Redakcji

Na tym miejscu prostujemy dwukrotny błąd, jaki z winy redakcji zaszedł w poprzednich numerach. Autorem wiersza „Na rozdrożu", drukowanego w nr. 1 (5) bez podania nazwiska kolegi-poety jest Marian Przeździk; tenże kolega Marian, a nie jak mylnie podano Jerzy jest autorem wiersza „1 listopad" z nr. 4.

Kol. MARIAN PRZEŹDZIK (Kielce).

Przepraszamy za pomyłkę i prosimy o dalszą współpracę. Część drukujemy. Radzimy jeszcze uświęconym tradycją zwyczajem jak najwięcej czytać dawnych i współczesnych poetów. Czytać tylko po to, żeby ich poznać i uczyć się — ale nie naśladować.

Kol. ZYGMUNT MACHNIKOWSKI (Radom).

Z nadesłanych utworów najlepsza w pomyśle była „Zgrzebna ojczyzna". Niestety brak staranności formalnej nie pozwolił nam na jej wydrukowanie. Jednak jest to wiersz dobry, a po przepracowaniu go i oszlifowaniu może być nawet bardzo dobry. Poezja nie może polegać na jednorazowym naszkicowaniu kilku zdań na temat, który nam przyniosło t. zw. natchnienie. Tutaj trzeba gruntownego przemyślenia, związania formy z treścią, a więc znajomości pewnych zasadniczych kanonów formalnych — czego u Was zupełnie nie widać. Jeśli przepracujecie „Ojczyznę" — przyślijcie. Z chęcią wydrukujemy.

Kol. J. J. (Zgierz).

W wierszu Kolegi jest i rytm i rym — tylko niema wiersza. Przychylamy się jednak do Waszej prośby i drukujemy jego część:

„Pamiętaj Młodzieńcze, że losy twe się ważą,
jak gdyby waga, jak huśtawka z drzewa.
Pracuj więc zawsze, tylko za pomocą Bożą,
Bo wiesz — człowiek w życiu słabostki miewa" —

Taką słabostką było napisanie przez Was tego wiersza.

JANINA KOMOROWSKA (Częstochowa).

„Nasz kącik" w tece.

Kol. W. BORSUK.

Zbyt ogólnikowe i, niestety, spóźnione. Już w poprzednim numerze drukowaliśmy felieton na ten temat. Chętnie jednak wydrukujemy Waszą pracę z działu filmowego, jeśli postaracie się w niej o sumienne opracowanie zagadnienia. Wystrzegajcie się ogólników.

Kol. MARIAN SOŁTYSIAK (Kielce).

Wydrukujemy. Radzimy pracować nad formą — przeczytajcie A. Galińskiego „Antologię poezji Polski Niepodległej".

KIER. ZESP. „S.P." PRZY GIMN. im. STEFANA ŻEROMSKIEGO (Kielce).

Dziękujemy za życzenia i nadesłany materiał. Prosimy o dalszą współpracę i propagandę na Waszym terenie. Serdeczny uścisk dłoni.

ZESPÓŁ „S.P." (Mołodeczno).

Dziękujemy za miłe sprawozdanie z Wystawy i zdjęcia. Niestety do druku się nie nadaje.

KOL. A. A. — BIELSKO. Osądźcie kolego sami:

...widzę słoneczne Jutro het.
Swobody słońce wzejdzie wnet.

albo

...Duchu przyziemnych lotów precz!
wznioślejszą ja obrałem rzecz.

Piszecie o sobie, że ulegacie „wpływom Puszkina". Puszkin tak nie pisał!

KOL. R. S. WARSZAWA. — Niestety — zamiar poetycki — w sensie swoim najszlachetniejszy — pozostał w Waszych pracach tylko zamiarem. Poezji nie znaleźliśmy. No cóż... życzymy powodzenia. „Narodziny ideału" wyróżniają się nieco od innych wierszy, brak jednak przemyślenia treści i rzetelnego trudu w budowie formy.

KOL. BARBARA K. — Stanowczo za dużo jest w tych wierszach złota i purpury. Kolorowość nie zastąpi poezji, która w wierszach Koleżanki żyje nastrojami z okresu „Młodej Polski".

KOL. „PIĘTNASTOLATKA". Rysunki należy wykonać tuszem lub akwarelą w barwach kontrastowych.

KOL. RENETA K. — WARSZAWA. Wiersze tematycznie ciekawe, artystycznie — blade. Technika poetycka Koleżanki to dopiero początki. Trzeba nad wierszem pracować, ująć temat w oryginalny obraz poetycki, nie ulegać łatwości wersyfikacyjnej. Oczekujemy dalszych prób.

SPROSTOWANIE.

W zamieszczonych w numerze 3 (7) „Młodych Oczu" wyjątkach z książki Ob. Prez. J. Jędrzejewicza p. t. „Kraina wielkiej przygody" zaszedł błąd drukarski, który niniejszym prostujemy: Na str. 5-tej, wiersz 30 od góry zamiast wyrazu „prości" ma być „puści"

W MŁODYCH OCZACH

CZASOPISMO MŁODZIEŻY SZKOLNEJ

wyd. przez Organizację Pracy Obywatelskiej Młodzieży

STRAŻ PRZEDNIA



WARUNKI PRENUMERATY

PRENUMERATA ROCZNA ZŁ 3.00

PRENUMERATA PÓŁROCZNA ZŁ 1.50

Cena pojedyńczego numeru 30 gr

NALEŻNOŚĆ WPŁACAĆ PRZEKAZEM ROZRACHUNKOWYM Nr. 275

z zaznaczeniem na odwrocie: pren. „W MŁODYCH OCZACH”

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI

WARSZAWA, ŚWIĘTOKRZYSKA 30, M. 8